

Dziś w numerze: Matury! • Poruta knaje • Bob Dylan • Pływający hotel • Żywe drzewo • Studium przestępstwa • Wiersze • Felietony • Recenzje • Polonica

odgłosy



Nr 24 (386)
19. VI. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX



LESZEK ST. RUDNICKI

Dzień Powyzedni

Mówimy — Tysiąclecie. Mówimy także: „Jak ten czas szybko leci” i „Jacyśmy już starzy”. A wszystkim słowa te kojarzą się z dość sielskim obrazem gęstych borów i rozległych pól, wśród których pra-pra-przodkowie nasi w pocie czoła montowali swoje pierwsze państwo. Nasze państwo — Polskę!

Myślimy także o miastach — pierwszych ośrodkach kształtującej się wia-
dzy. Tymczasem wiele miejscowości, których znaczenie w tamtych latach było wielkie, teraz jak gdyby zniknęło. Mało kto, poza interesującymi się tym niejako profesjonalnie historykami, wie w ogóle, że były. Z ich nazwami spotykamy się przy takich czy innych okazjach w komunikatach prasowych, ale to już nie to. Nie te czasy i nie ci ludzie.

Popatrzmy trochę, jacy oni są. Mieszkańcy najstarszych, a nieznanych miejscowości w kraju. Pojedźmy na reportaż. Razem. Pojedźmy, żeby nie było zbyt daleko, chociażby do... Rozpry. Wiecie państwo, gdzie to jest? Własnie! Osada w powiecie piotrkowskim, na drodze do Radomska. Teraz siedziba Gminnej Rady Narodowej, dawniej... O, dawniej rozmaicie bywało. Bądź co bądź, liczy już sobie ponad 900 lat.

Archeolodzy, ta, najskrupulatniejsza, a zarazem najniecierpliwsza chyba

Dalszy ciąg na str. 3

ITA TUROWICZ

SPRAWA NIE TYLKO PIENIĘDZY

Do pokoju dyrektora wchodzi kolejny interesant. Tym razem jest to Etiopczyk z Addis-Abeby. Jest skonsternowany i mówi dość niewyraźnie. Po chwili wyjaśnia się — kończy roczne Studium Jęz. Polskiego, pragnie studiować demografię. A oto na zajęciach omawiających indywidualne plany studiów, profesor wskazał mu socjologię. W ambasadzie polskiej w Addis-Abebie wyraźnie mówiono o demografii. Co ma wobec tego studiować, gdzie tu kryje się błąd?

W polskiej słatce studiów wyższych demografia nie figuruje jako odrębny kierunek — można natomiast uzyskać te specjalizacje podczas studiów socjologicznych, uwzględniających w szerokim stopniu obok aspektu humanistycznego — zagadnienia statystyczno-demograficzne. Podstawy stu-

dów demograficznych dale także wydział finansów i statystyki SGPiS.

Wyjaśnienia padały spokojnie i rzeczowo, z pytań Etiopczyka znika niepewność i nieufność. Prawde mówiono mu w ambasadzie, będzie demografem, choć na razie zapisze się na I rok socjologii. Zamyka za sobą drzwi delikatnie, po cichu.

Jedną z dziesiątki spraw codziennych, wspólnych kłopotów — studentów zagranicznych i ich opiekunów w Studium Jęz. Polskiego dla Cudzoziemców. Ukończenie rocznego kursu jest obowiązkiem dla wszystkich przybyszów spoza słowiańskiego pnia językowego. A więc podczas gdy Czesi, Rosjanie, nawet Bułgarzy, poprzestają na krótkim kursie wakacyjnym i lektoracie podczas studiów — już Węgrzy, Szwedzi, nie mówiąc o Afrykańczykach czy przybyszach z Ameryki Łacińskiej, spędzają rok na intensywnym przygotowaniu językowym w Studium.

Dlaczego student z Addis-Abeby koniecznie pragnął ukończyć demografię, dlaczego obiecano mu to w naszej ambasadzie, jaka jest droga zagranicznych absolwentów naszych uczelni od chwili decyzji przyjazdu do otrzymania dyplomu z plecaccia Uniwersytetu Warszawskiego. Politechniki Gdańskiej czy ASP w Krakowie? Dlaczego wszystkie państwa socjalistyczne, a także część świata kapitalistycznego troszczy się o edukację młodzieży nie tylko własnej, w tym zaś szczególnie pochodzącej z tzw. Trzeciego Świata?

Jest to część pytań bogatego spłotu zagadnień mieszczących się w ogólnym problemie stosunków międzynarodowych o rozmaitym — gospodarczym, naukowym, kulturalnym, także propagandowym charakterze. Dyr. Studium nazwał akcję realizowaną m. in. przez organizację studiów dla młodzieży z innych krajów — „dalekowzroczną inwestycją w przyjaźń międzynarodową”.

Organizowanie pomocy krajów bogatych dla słabiej rozwiniętych ekonomicznie, jest sprawą stosunkowo niedawną — dopiero po

II wojnie umieszczona wśród form współpracy międzynarodowej. Przed wojną udzielano tylko niskoprocentowych kredytów. Pierwszym wypadkiem pomocy dotacyjnej było udzielenie w 1941 r. przez USA 30 mld dolarów dla Wlk. Brytanii, przeznaczonych na walkę z Hitlerem. Rok ten stał się przełomowym — forma daleko idącej pomocy gospodarczej weszła na forum spraw kształtujących obecne stosunki między państwami. Oczywiście różne oblicze przybierała owa pomoc w zależności od ustroju politycznego państwa udzielającego. Klasycznym przykładem prób polityki dyskryminacyjnej był w swoim czasie „Plan Marshalla”, który gospodarczo znacznie ułatwił i przyspieszył odbudowę zachodniej części Europy.

Pomoc bogatych państw kapitalistycznych dla krajów słabiej rozwiniętych ma nadal aspekt w wysokim stopniu polityczny. Opiera się na nim cała koncepcja neokolonializmu. Przy obecnej strukturze rynku światowego gospodarka Trzeciego Świata, prymitywna i oparta na naturalnych płodach rolnictwa lub wydobyciu ropy i metali kolorowych, pozbawiona rodzimego przemysłu — nie stwarza możliwości samodzielnego rozwoju, co za tym idzie także stabilności stosunków politycznych. USA, Francja, Wielka Brytania lokują pewien procent swego dochodu narodowego w krajach Trzeciego Świata, by utrzymać ich dotychczasowy układ polityczny oraz własne wpływy.

Inny charakter posiada wież obozu socjalistycznego z krajami słabo rozwiniętymi. Do symbolu już urosła sprawa budowy tamy pod Assuanem w Egipcie, pomoc dla walczącej Algierii, Kuby w krytycznym 1963 r. Równie dalekowzroczna perspektywa posiada akcja kształcenia młodej inteligencji technicznej i humanistycznej dla krajów zacofanych.

I oto dochodzimy do sprawy powstania i funkcjonowania także łódzkiej placówki — Studium Języka Polskiego dla Cudzoziem-

ców. Pierwszą grupę obcych przybyszów stanowiła grupa młodzieży koreańskiej przybyła w 53/54 r., która uczyła się języka i przygotowywała do studiów w dwuletnim Studium (powstałym z powojennego tzw. roku wstępnego na studia i kursu przygotowawczego). Od 58/59 r. Studium przeznaczone zostało wyłącznie dla cudzoziemców. Obecnie liczy ponad 300 słuchaczy rocznie.

Łódzka placówka utrzymuje ścisłe kontakty z analogicznymi ośrodkami w krajach socjalistycznych — np. z Uniwersyteciem Lumumby w Moskwie, który jest ogromną instytucją, a jego słuchacze liczą się w tysiącach, z Instytutem Herdera w Lipsku, z Budapesztem, Praga, Bukaresztem i innymi.

Placówki tego typu należą do jednej z sekcji RWPG i działają w ramach tej organizacji. Ułatwia to w dużym stopniu mechanizm wymiany doświadczeń i współpracy.

Większość słuchaczy Studium jest stypendystami naszego rządu, zajmują się tym KERM. Innych finansują rodzime związki studenckie — filie MZS, przedsiębiorstwa zdobywające sobie tą drogą specjalistów przemysłowych, pewien procent utrzymują Polonie zagraniczne. Studenci przybywają do Polski z różnych stron świata. Ich dobór organizują nasze placówki dyplomatyczne w odpowiednich krajach, attaché kulturalni. Największą liczbę młodzieży przyjmujemy z krajów Trzeciego Świata — to on jest terenem rosnącej konkurencji wpływów: Wschód — Zachód. Od ukształtowania młodej warstwy inteligencji, od jej poziomu intelektualnego zależać będzie także profil polityczny kraju.

Zmieniają się ustroje, oblicze przemysłu i wszelkich dziedzin życia społecznego, zmieniają się zasady handlu. Pozostają jednak pewne niezmiennie mechanizmy i prawidłowości. Już pamiętający czasy „Lalki”

Dalszy ciąg na str. 4



W minionych dniach szczególnie dwa wydarzenia obserwowano pilnie na scenie politycznej: wizytę min. Adama Rapackiego w Szwecji oraz przebieg brukselskiej sesji Rady NATO. Oba budziły zainteresowanie z tego samego powodu — poszukiwania odpowiedzi na pytanie, jak dalek będzie się rozwijała sytuacja w Europie?

Tuż przed sztokholmską wizytą angielski „Scotsman” stwierdzał, że Rapacki „chce zainteresować Szwedów swoją wersją europejskiego odprezenta”. Jeśli tak rozumiemy cel wizyty — można dziś powiedzieć, że w dużym stopniu został on osiągnięty. Rozmowa polskiego ministra — Torsten Nilsson zgodził się bowiem, że konferencja na temat bezpieczeństwa europejskiego byłaby pożyteczna, a nawiązując do idei obszarów bez broni nuklearnej, powiedział: „Skandynawia jest faktycznie strefą bezatomową i Szwecja jest gotowa przyłączyć się do strefy bez atomowej, która obejmowałaby Europę środkową i północną.

Najczulszy barometr, reagujący natychmiast na wszelkie idee odprezenta, jakim jest Bonn, nie zawiodł i tym razem. Prasa zachodnio-niemiecka z miejsca wykazała zainteresowanie faktem, że — jak pisał dziennik „Sueddeutsche Zeitung” — „polskie wyobrażenia i cele pokrywają się w dużym stopniu z poglądami Sztokholmu”.

Jednak nie tylko Europa znalazła się w orbicie rozmów ministrów Rapackiego i Nilssona. Wielki wpływ na rozwój międzynarodowych stosunków ma przecież wojna wietnamska. Stąd we wspólnym komunikacie obie strony podkreślały, że „pokojowe rozwiązanie konfliktu powinno nastąpić w oparciu o układy genezyjskie i na bazie poszanowania prawa narodu wietnamskiego do samodzielnego decydowania o swoim losie”.

Dyskusja polsko — szwedzka wykazała, jak zbliżone mamy poglądy na wiele zagadnień międzynarodowych i jak wysoko odnotowywany jest w Skandynawii wkład Polski w światowe odprezenta. Dał temu wyraz Nilsson, stwierdzając pod adresem min. Rapackiego:

„Wiele dobrych sił działa na rzecz rozwiązania problemów europejskich, politycznych i gospodarczych, na rzecz dalszego rozwoju współpracy wszystkich krajów europejskich. Pan, Panie Ministrze, jest jednym z tych, którzy wnieśli swój wielki wkład do tego dzieła”.

A dzieło jest rzeczywiście przeogromne. Jednym z jego mierników są koszty zbrojeń, które, jak wynika z ostatnio opublikowanych sprawozdań, wynoszą rocznie ok. 130 mld dolarów, czyli więcej niż świat

wyduje na oświatę i zdrowie razem wzięte.

Aby jeszcze wyraźniej uzmysłowić Czytelnikom wielkość tej liczby przypomnijmy w tym miejscu, że rocznie na pomoc gospodarczą dla krajów zaniebanych przeznaczają się... 8 mld dolarów. Porównanie tych dwóch liczb musi niewątpliwie nasuwać pytanie, co by było, gdyby...

Tak, ale my musimy wrócić na ziemię. A tu, w stolicy Belgii właśnie obradowała Rada NATO i czterech atlantyckich partnerów Francji „przekonywało” jej ministra — Couve de Murville’a, że niezbędne jest utrzymanie militarnego charakteru NATO.

Wyniki obrad zamykają się pewnym kompromisem, który każda ze stron komentuje w sposób dla siebie wygodny i który — jak wydaje się — po prostu odrzucił ostateczną rozgrywkę.

W rezultacie — pisze londyński „Times” — obecne problemy pokazane zostały urzędnikom, co jest klasycznym sposobem stwierdzenia, że konferencja nieczego nie załatwiła.

Również zachodniemiecki dziennik: „Koelnische Rundschau” uważa, że „nie ma sensu cieszyć się brukselskim kompromisem”.

Przypomnijmy, że decyzje Francji postawiły na porządku dnia Rady NATO trzy kwestie:

- stacjonowanie obcych wojsk na terenie Francji
- stacjonowanie oddziałów francuskich w Niemczech
- udział Francji w sojuszu

Otóż właśnie w tych sprawach nie osiągnięto wyraźnego, jednoznacznego stanowiska i dlatego, o czym wspominałem powyżej, skala ocen wyników sesji jest bardzo szeroka.

Poza „tematyką francuską” obrady sesji wypełniły i inne problemy. I tak np. odroczone merytoryczną dyskusję nad konferencją Wschód — Zachód (co postawiła na porządku dnia aktywna ostatnio, żeby wspomnieć podróże prem. Kraga, Dania), stwierdzając, że ZSRR nie dał za darmo „żadnej wyraźnej wskazówki, iż gotowy jest nawiązać poważne rokowania z Zachodem”. (?)

Z zadowoleniem natomiast — jak donoszą źródła zachodnie — jak donoszą źródła zachodnie — powitano oświadczenia ministrów spraw zagranicznych Grecji i Turcji o zamiarze nawiązania rozmów o Cyprze.

Termin ani miejsce negocjacji nie zostały podane, należy jednak domniemywać, że decyzja ta ma ścisły związek z wygasaniem w dniu 26 bm mandatu wojsk ONZ na wyspie. Perspektywa rozmów może ułatwić przedłużenie go nawet do 6 miesięcy.

W Brukseli ministrowie powzięli decyzję o zwołaniu zimowej sesji w grudniu br. Rzeczą jednak znaną — tym razem, odmiennie niż zazwyczaj, nie wspomina się, że odbędzie się ona w Paryżu. Większość ministrów uznała, że po nieodwołalnych krokach Francji nie byłoby to właściwe.

Oczywiście — do tej pory dla NATO może już nie być miejsca w Paryżu...

W. Sławski

Kronika TYGODNIA

■ Popularny i o masowym nakładzie „Newsweek” znów wraca do niewyjaśnionych aspektów zabójstwa prezydenta Kennedy’ego: asumptu ku temu daje opublikowana ostatnio książka młodego prawnika E. J. Epsteina, który uważa, iż FBI uczyniło wszystko by nie dopuścić do ujawnienia prawdy — nie cofając się przed fałszerstwem i niszczeniem dokumentów. Epstein przypisuje wielkie znaczenie wynikom pierwszej obdukcji, wskazującej na fakt, iż śmierć rana prezydenta pochodziła od kuli, która go ugodziła poniżej krtani. Mordercy strzał oddany został więc od strony wiaduktów i nie mógł pochodzić z broni Oswalda. Publikacja Epsteina — jak się wydaje — wywołała ponowną falę dyskusji na ten tak drażliwy i bolesny temat.

■ De Gaulle przygotowuje wycofanie okupacyjnych wojsk francuskich z NRF. W rachubę wchodzi częściowa ich demobilizacja. Pozostałe oddziały zostaną rozlokowane: — w zajmowanych obecnie przez Amerykanów bazach w Orleanie i Verdun; Amerykanie muszą je opuścić między 1 i lipca 1966 a 30 czerwca 1967; — na lotniskach w trójkącie Metz — Strasburg — Nancy — zajmowanych obecnie przez Kanadyjczyków, którzy również oczekują eksmisji.

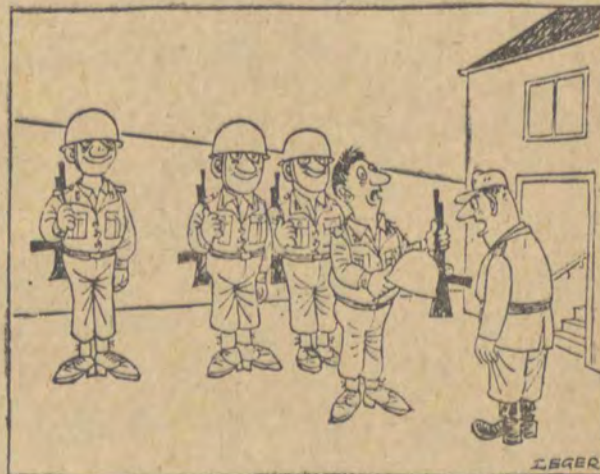
■ The London Daily Telegraph — jako wielka sensacja — opublikował wywiad z Niną Chruszczow, żoną byłego premiera ZSRR. Nikita Chruszczow ostatnio chorował na kamienie żółciowe, ma się jednak już dobrze. „Zjemy spokojnie, cieszymy się zdrowiem. Mój mąż jest w dobrej formie i uważa się za szczęśliwego człowieka” — powiedziała m. in. reporterowi pani Chruszczowa.

■ Holenderskie pismo „De Gelderlander” stwierdziło niedawno, że Adolf Hitler występował na listach honorowych obywateli miasta Kievo (NRF). Wywołało to niejaka sensację i burmistrz

To prawda, że kobie ty inspirują nam wielkie czyny. Niestety razem przeskakują nam w ich realizacji.
STEWART GRANGER, AKTOR

tego miasta był zmuszony postawić na porządku dziennym obrad swego magistratu sprawę pozbawienia „führera” tej godności. Motywacje: Adolf Hitler popełnił samobójstwo — a więc czyn nie licujący z godnością honorowego obywatela tego starego grodu.

■ Prawica francuska wykorzystala rocznicę bitwy pod Verdun dla prób rehabilitacji marszałka Petaina. „Towarzystwo Obrony Pamięci Marszałka Petaina” liczące 20.000 członków wydaje nawet swój miesięcznik pt. „Marszałek”. Uważa się również, iż wojskowe skrajnieprawicowe koła (zw. „piedsnoirs”) należą do wielbicieli marszałka — kolaboranta. Stanowisko generała de Gaulle’a w tej sprawie jest jednak niewzruszone: „Petain zyskał prawo do chwwały swym bohaterstwem



De Gaulle mnie przekonał. Ja też występuję z NATO...

pod Verdun. Stareca słabość doprowadziła go jednak do upadku”.

■ 27 maja sześć wojskowych odrzutów francuskich w czasie lotu ćwiczebnych z Cazaux koło Bordeaux do San Pablo (Hiszpania) straciło — jak podał oficjalny komunikat — orientację i uległo rozbieleniu. Pilot ratowali się katalapultowaniem. Była to pierwsza chybą w historii lotnictwa tak masowa katastrofa lotnicza. Oficjalnie winę ponosi dowódca eskadry kapitan Guers. Nieoficjalnie — w opinii zachodnioeuropejskich ekspertów — przypisuje się ten wypadek amerykańskiemu urządzeniom zakłócającym działanie radaru i system radiowej łączności. Londyński „Daily Express” pisze wręcz, że był to i amerykański rewanż za polityczne przykrycie niespodzianki jakie spotkały USA ze strony de Gaulle’a. W rachubę wchodzi również możliwość, iż katastrofa nastąpiła w rezultacie niebezpiecznego dla Amerykanów zbliżenia się eskadry francuskiej do otoczonej szczególną tajemnicą bazy atomowej USA w Rota (Hiszpania).

■ Dziennikarz François Sulis posługując się francuskim paszportem zwiedził ostatnio nadmorską część Chin i opublikował wrażenia z tej podróży w prasie amerykańskiej. „Uważam za swój obowiązek stwierdzić — pisze Sulis — że Chiny w roku 1966 nie są ani rajem, ani piekłem, jak dowodzą inni”.

■ Argentyńskie pismo „Prensa Plana” prowadzi szcze-

Intelektualiści mają śmiesznie naiwny stosunek do władzy. Sami się nią nie interesują i dla tej przyczyny ludzi stojących u władzy uważają za odrębną gatunek, nie zasługujący na sympatie.

ARTUR SLESINGER — BYŁY DORADCA KENNEDY’EGO

gólna lista — na wzór list bestsellerów — w której ocenia inklinacje generałów do podejmowania wojskowych przewrotów i puczów. Z listy tej można wywnioskować iż 40 proc. generałów argentyńskich stale spiskuje i bierze udział w przygotowywaniu kolejnych przewrotów. 21 proc. czyni to od czasu do czasu i tylko 17 proc. nie zdradza takich zainteresowań.

■ André Malraux, jeden z najbliższych współpracowników de Gaulle’a ustąpił ze stanowiska ministra kultury, ponieważ, jak ujawnia niedyskretna francuska prasa, cierpi na ciężki rozstrój nerwowy. Przyczyną: przed parą laty obaj synowie pisarza zginęli w katastrofie samochodowej.

■ Kosmonauci, wracający z długiej podróży kosmicznej nie powinni się z nikim — nawet z własną żoną — całować! Dr Luckey z uniwersytetu w Missouri twierdzi, iż człowiekowi przebywającemu przez dłuższy czas w wolnym od wszelkich bakterii wnętrzu pojazdu kosmicznego, każdy pocałunek grozi śmiertelnością infekcją. Jest jednak i na to rada: tuż przed la-

dowaniem kosmonauci winni polknąć specjalną pigułkę — porcję niegroźnych bakterii — uodporniających organizm.

■ Nowojorska stacja „TV Net” nadała 9 czerwca br. film dokumentalny pt. „Getto Warszawskie” opracowany i skomentowany przez A. Bernfesa. Ukazuje on w sposób wstrząsający prawdę o zagładzie polskich Żydów, mówi o powstaniu w getcie, o wspólnym polskim i żydowskim ruchu oporu, o pomocy świadczonych dla getta przez ludność Warszawy. Nie przemlecia również haniebną rolę policji żydowskiej i Judenratu.

Z władzą nie można flirtować: jej trzeba się oddać.

ANDRÉ MALRAUX

Audycja ta ma tym większe znaczenie, iż na łamach prasy i w amerykańskiej TV rol się od antypolskich wystąpień. I tak ostatnio A. Field (Washington Post) nazwał Polaków „pierwszymi pomocnikami reżimistów hitlerowskich”. Gazety Milwaukee i Chicago dają do zrozumienia iż eksterminacja Żydów polskich była „wspólnym dziełem Polaków i Niemców”. Daily News używa określenia „polskie obozy koncentracyjne”, Life — „polskie komory gazowe” itp. itp.

■ Prasa francuska donosi, iż toczą się rokowania w sprawie uruchomienia linii lotniczej Paryż — Pekin.

■ Zakupy ratalne w ZSRR osiągnęły sumę trzech miliardów rubli. Jak stwierdzono dotychczasowe głównie trzech artykułów: aparatów radiowych, telewizorów i kamer filmowych.

Zaczyna się to zupełnie niewinnie. Najpierw robi się wszędzie zielono, a kiedy zaczynają kwitnąć kasztany widzi się gromady młodych ludzi z książkami w rękach. Zamiast mówić o winoście, dyskutują o problemach literatury XVII w. i powtarzają wzory na objętość ostrosłupa. „Muzyka i Aktualności” zaczyna nadawać dla tych młodych kujących ludzi specjalne, pokrzepiające piosenki, mamy zdenerwowane wymieniania najświeższe wiadomości o swoich pociechach, no i wtedy już wiadomo, że zbliża się matura...

Krytyczny moment przyszedł 20 maja; o godzinę 8 zaczął się pierwszy egzamin z języka polskiego. W salach egzaminacyjnych łódzkich liceów ogólnokształcących zasiadło 3492 uczniów, do egzaminów nie dopuszczono około 170 jedenastoklasistów. Z liczby dopuszczonych trzeba wyróżnić grupę 150 uczniów, którzy zostali dopuszczeni do matury z jedną oceną niedostateczną, dwójka była należycie oceniona z matematyki, a polskiego. Tutaj należała się pewna wyjaśnienia. Kiedy w ubiegłym roku weszła w życie reforma egzaminów maturalnych, wzbudziła od razu szereg kontrowersyjnych zdań i sprowokowała ożywioną dyskusję. Szerog sprzeciw wywołała właśnie możliwość dopuszczenia do matury ucznia z oceną niedostateczną. Oburzano się: Jaki to, można sobie przedstawić jakiś przedmiot i miłośnik, który dostaje świadectwo? Otoż nie można. Jeśli uczeń rzeczywiście nie uczył się danego przedmiotu, nie zostanie dopuszczony. Sprawie te rzetelnie omawia się na Radach Pedagogicznych. Dopuszczony zostaje tylko ten, któremu nie powiodło się z przyuczenia dostatecznie ten fakt usprawiedliwiałych. Daje się miłośnik przedmiot naturalnych, dziś już można powiedzieć że ten zagadnienie, większość wypadków została doceniona i wykorzystana. Świadczą o tym cyfry zebrane z dwóch dziedzin: w śródmieściu gdzie 1109 maturzystów stanowi 30 proc. ogółu zdających, do egzaminów ustychnych nie dopuszczono tylko 4 osoby, na Polesiu na 466 uczniów, którzy złożyli prace egzaminacyjne, odpady z egzaminu. Kiedy ten numer dojdzie do rak czytelników, matury będą już zakończone. Nie wiadomo jaka będzie ogólna liczba tych, którzy przepadli, ale sądząc z dotychczasowych wyników nie będzie tak źle. I już dziś, jeszcze uczucie na gorąco, można pokusić się o sformułowanie pewnych wniosków. W pierwszym, jeszcze raz do egzaminu z egzaminu z egzaminu z egzaminu. Wprawdzie tematy były podane w prasie codziennej, ale chciałabym je jeszcze raz tu przytoczyć. Oto one:

■ Protest przeciwko zacofaniu kulturalnemu i intelektualnemu w literaturze naszego Oświecenia.

■ Walka Polaków z zabobornością i okrucieństwem Niemców w okresie 1000-lecia naszego Państwa w świetle literatury pięknej XIX i XX w.

■ Człowiek a rzeczywistość — analiza i ocena różnych postaw życiowych wybranych współczesnych bohaterów literackich.

A teraz znów trochę dyfry, przy czym będą one dotyczyły tylko Śródmieścia, na 1105 osób zadających, temat pierwszy wybrało 651 uczel-
nowy, temat drugi — 415, temat trzeci 14. Liczby mają swoją wymowę: młodzież w dal-
szym ciągu lepiej umie literaturę z XVIII
Wieków niż literaturę lat dziesiątych. Bo chy-
ba nie można tłumaczyć niepowodzenia trze-
ciego tematu tym, że był sformułowany zbyt
„filozoficznie”. Przyczyną trzeba chyba szu-
kać gdzie indziej. Widać w dalszym ciągu le-
piej, a może dłużej, omawia się „antyki” na-
szej literatury, a zwłaszcza „antyki” w zaga-
dzeniu z zagadnieniami „śródmiejskimi”. Może ucze-
lniowie nie potrafili pisać na tak sformu-
lowane tematy? To z kolei świadczyłoby o pew-
nym, schematyzmie i uproszczeniu zaradnic-
kim.

z omawianej literatury. O małym przygotowaniu młodziarzy do tematów, gdzie trzeba włożyć więcej indywidualnych opinii i poglądów. Następnie wnioski, jeszcze raz powtarzam, wnioski czynione na gorąco, będą już bardziej dotyczyły naszych młodych ludzi i samych egzaminów. A egzaminy wyglądają zupełnie inaczej, niż to było za naszych czasów. Wchodził człowiek na salę, gdzie wystraszony i błądzący stał przed komisją, która po egzaminie zadawała się hurtem jeden po drugim i to aż cztery. Efekt był często taki, że w ostatniej chwili dostawało się absolutnego pomieszanca pojęć, definicji i reguł. Egzamin ciągnął się i ciągnął, Komisja musiała wysłuchiwać wszystkiego, a więc polonista przyglądał się zadaniu z fizyki, fizyk słuchał o układzie nerwowym gołębia, itd. Reforma odwruciła ten system. Przede wszystkim zdaje się mniej; obowiązuje teraz ograniczenie czasu, który uczeń musi poświęcić na rozwiązanie zadania, który uczeń sam sobie wybiera. Przy sprzyjających układach może zaliczyć taką sytuację, że uczeń zdaje tylko ten dodatkowy, wybrany przez

ja, praktycznie nie warto dowiadywać się, jakie rzeczy już były. To wszystko pozwala złożyć atmosferę już przed egzaminem. Jeśli mowa o przedmiocie wybieranym przez ucznia, znów trzeba będzie przytoczyć garść cyfr. Największym powodzeniem cieszy się język rosyjski — przedmiot ten wybrało około 2940 uczniów i geografów z około 1340 zdającymi, biologów znalazła 910 chętnych, chemia 380 osób, język angielski 318, niemiecki 248 i wreszcie francuski 168 osób. Popularność geografii da się łatwo wytłumaczyć: potrzebna jest do egzaminu wstępny, a więc mowa może być o geografii, a nie o geografii. Poza tym obejmule mniejszy zakres materiału niż inne przedmioty. W klasie VIII i X są tylko 2 godz. tygodniowo.

Niepokojący jest fakt małej ilości uczniów, którzy zadeklarowali chęć zdawania jednego z języków zachodnioeuropejskich. Tutaj mała ciekawostka: kiedy w Łodzi największym powodzeniem cieszy się język angielski w Warszawie modny jest ostatnio francuski.

A teraz trochę już o samych egzaminach.

to iść na ten egzamin nieprzygotowanym. Jak już wspominałem fizykę zdawałem w pracowni fizycznej. Na moment pozwoliłem mi tam zanieść... W pracowni było ciemno, Wysoka Komisja siedziała na podwyższeniu, widać było kształty mnóstwa przyrządów i przyrządków a na pierwszym stole, na amperomierzach piękna, zielona sinusoidalna fala się wykrywała. Było ciemno, nie było świadczące przeciwnie, zdawający, właśnie uczeń, muszę się przypaść, że nie wiedziałam, jak trzeba było do tego zabrać, chłopak mi zaimepowiał, Zresztą nie tylko on...

Z grupy oczekujących na egzaminie w szeregach czekała na niego dziewczyna, która była jego kochanką. Wzruszona i szczęśliwa, podbiegła do niego i mocno go przytuliła. Jurek nie chciał nic mówić. Kiedy wyszedł z egzaminu, minął kilka minut i powrócił do sali. Znowo usłyszał głosy kolegów, którzy pytali go o wynik egzaminu. Jurek powiedział im, że dostał bardzo dobrą ocenę i że jest już przyjęty na studia. Potem poszedł do domu. Jego rodzice byli bardzo z niego dumni. W przyszłości Jurek chciał zostać lekarzem.

Tacy to są, ci niektórzy tegoroczni maturzyści, swoimi egzaminami dojrzałości zdobyli już znaczące doświadczenia. Podczas rozmów z młodzieżą chciałam wy badać, jacy oni właściwie są. Opanowani. Tak. Sympatyczni? Z całą pewnością. Rozsadni? Chyba tak. Wynikato to ich wypowiedzi o przyszłych planach. Sporo z nich wybiera się na studia, wielu ma według zdania profesorów zupełnie realne szanse. Wybierali sobie kierunek w większości zgodny z zainteresowaniami i możliwościami, przy czym w XXX LO, nie można tego powiedzieć uogólniając na inne szkoły nie zabierwawano owczego pedu na jakiś wybrany kierunek. Złotostwa, Instytut, Akademię Medyczną między innymi. Uwzględniły one również i doświadczenia Nauczycielskie. Jacy jeszcze są te gorocini maturzyści? — Pokodni. Szli na maturę podpisując sobie szlagier z repertuaru „Czerwonych gitar” — „Matura”. Bo maturzyści są big-beatowcami! I wcale nie uważają żeby uwielbianie mocnego uderzenia było dowodem niskiej kultury i zwyrodnienia. Na głosną ostatnio dyskusję w prasie o ich pokoleniu wrzuszając ramionami i zupełnie trzeźwo replikują: — Dorosli też rozrabiali, pili, żętko popatrzyć lu ich chodz... zamykaj na ulicach, ilu siedzi w więzieniach... zamykaj na spacerach, ilu kradnie... przecież my nie mówimy, że ich pokolenie jest nie wartościowe, nie rozciągamy grzechów jednej części świata dorosłym na wszystkich, chociaż nasze 18 lat bardziej usprawiedliwiają niewprężmyślne uogólnienia.

Takich to mamy maturzystów. Takie były teoretyczne matyry. Jeżeli obraz jest niepełny i niedokładny to chyba dlatego, że o maturach można dowodzić tylko z relacji zdaleka od egzaminujących. Egzaminujący są zmęczeni, zdający nie mówią dużo, bo się spieszą, aby radośna wieścią podzielić się z rodzicami. A pod drzwiami egzaminacyjnymi często zaglądała dzielniaoklaski. Przecież znów za rok matura!

BOGDA
MADEJ

M A T U R Y!



słabie przedmioty. Oczywiście, w tym młym połozeniu znajdują się tylko dobrze ucznio-
wie, którzy ucząca praca w X i XI klasie
własny sobie na ten ukłowy egzamin. A więc
wbrew pozorom nie takie znow ułatwienie
zdobyć matury, jak to niektórzy sądzi-
li. słabi uczniowie meczą się prawie po-
przedmiot, w edzie dzieła, które tylko jeden
przygotowanie się, a jeżeli coś się popła-
cze to już tylko w obrebie jednego przed-
miotu. Taki system pozwolił na znaczne z-
kłodzenie, gdyż egzaminacyjni wje-
wiedzieli, że nie ma już przedmiotów
bierane przez uczniów. Szanse wyłączenia
tego samego zestawu pytań raczej nie istnie-

Kibicowalam grupie zdających w XXX I.O. Trafiałam akurat na fizykę. Matematycy siedzieli w spokoju czekając na swoją kolej. Różne, było zachowanie członków tej kilkuosobowej grunki, część gorączkowo przeglądała zeszyty, czasem ktoś prosił o przypomnienie wzoru, ktoś poprosił o siedzącego obok o spokój. Byłam zdziwiona ogromnym opóźnieniem tej młodzieży. Myślałam że z niepokojem, oni meżnie czekali, kiedy zostaną poproszeni do pracowni, w pobliżu nie kreśliła żadni rodzice, ba! — nawet nikt nie ogryzał paznokci. Z pewnością przyzwyczajenie takie jest wśród uczniów w systemie, w którym każdy przedmiot w innym dniu, poza tym był to przedmiot, który oni sami wybrali, wstyd był

borusza. Była też przedmiotem zatar-
tu, gdyż w roku 1277, po śmierci Kon-
rada Mazowieckiego, syn jego, Kazi-
mierz, zagarnął ją bratu Ziemiowitowi
wraz z Łączną i Spicymierzem.

dobrze zachowany trzewik.
Tak zamknęło się koło historii.

Na przełomie XIII i XIV wieku Rozprza traci nieco na znaczeniu. Nie daleko wyrasta duży ośrodek miejski – Piotrków. Ale historia miasta jest wciąż interesująca. W XVII w. na zjazd szwedzki. Potem walki konfederatów barskich pod dowództwem majora Zarebki. Wreszcie powstanie styczniowe. Jest o czym opowiadać. Ale historia, to nie tylko dawna przeszłość. Historia, to także okres sprzed lat dwudziestu pięciu. Spotykamy się z nią na co dzień. W ogrodzie tutejszego PGR wystawiono niewielki pomnik.

„Kiedy w pierwszych dniach września 1939 r. wróciłem do Rozpry, było już właściwie po wszystkim — opowiada były kierownik szkoły p. Bałbiski:

— Właśnie w tym ogrodzie zajęła stanowisko obsługa jednego dziecka, trzech żołnierzy, tylko trzech. Kiedy od Niechic nadeszły czolgi i otworzyły ogień, zaczęły się odszczekiwać. I chyba ze trzy czolgi zniszczyły. Ostatni z obronców strzelał jeszcze będąc ciężko rannym. Niemcy bali się podejść blisko. Strzelali z daleka. Przy okazji rozwalili w szkole kawał frontowej ściany. Po jakichś dwóch czy trzech dniach, zebrałem dzieci i poszliśmy na to miejsce. Żołnierze mają już przecież takie swoje znaczki rozpoznawcze. Myślimy, że da się ustalić nazwiska, ale gdzie tam. Wszystko było tak rozbite, że nie wiadomo było gdzie szukać. Dzieci przesyłały nawet płasek. Nic nie znaleźliśmy. I dlatego teraz pomników poświęćmy jest nieznanym żołnierzom. Tym naszym żołnierzom”.

Tak wygadał wrzesień. Ale co nim nastąpiła okupacja. Piotrkowskie było przecież terenem walk partyzanckich. Posłuchajmy co na ten temat powie nam jeszcze p. Babinski:

"Gdzieś w listopadzie 1944 roku w Rozprzy była bitwa. Partyzanci usiłowali zdobyć tutejszy dworzec. Zdanie się bill. A jakiś czas przedtem, albo może i później, dobrze już nie pamiętam, Niemcy przejechali przeznaczone dla partyzantów rzut lotniczy. Całą masę skrzyń. Zwlekli to wszystko na dziedzińce szkoły, gdzie stacjonowali. Sami jednak ball się je otwierać. Zagonili do tego wlasowców. Z tymi wlasowcami też była ładna historia. W lipcu 1944 przyjechali z Niechle zandarmi i wolali wszędzie: zamykaj sklepy, zamykaj domy, idą wlasowcy, będą rabować". I rzeczywiście. To, wie pan, był Ukraińcy z dwiżyl Ka

mińskiego. Leżli jak szarańcza. Brali, co tylko wpadło pod rękę. Jeden z Rozprzy, nazywając się Oleczyk Władysław, strasznie lubił konie. Hodował piękne okazy. No i pozabierali mu. Chiop zaciął się strasznie. Zwinął trochę rzeczy w węzelek i ruszył za nimi. Twardy był. Poszedł aż do Czechosłowacji i po wojnie przyprowadził konie z powrotem.

Ci sami wlasowcy niedaleko stąd, w Mierzynie, po bitwie partyzanckiej, zrobili straszną masakrę".

Historia rzutuje na dzień powszedni. Ale historia, to nie tylko ta najdawniejsza, czy nawet sprzed lat dwudziestu pięciu. To także zwykły dzień miasteczka.

Naród, to nie kobieta. Naród szczył się swoim wielkim, swoją przeszłością! Milenium! „Tysiąc szkół na tysiąclecie”. A w Rozprzys, tej najstarszej z najstarszych, budynek szkolny wola o pomstę. Nie znam miejscowości, która bardziej zasługiwała by na nowy budynek szkolny. Na taki właśnie nie pomnik tysiąclecia. Wprawdzie przewodniczącą GRN p. Marian Świąstek wspomnia, iż obiecano mu budowę nowej szkoły na rok przyszły, ale w takim razie czemu sprawa wlezie się tak długo. Nowa szkoła to nie tylko miejsce nauki. Nowa szkoła pozwoli na zrobienie boiska z prawdziwego zdarzenia. Wtedy chłopcy z KS „Czarni” przestaną biegać po łakach. Wtedy może tradycyjne miejsce zbiórek tułuskiej młodzieży, na przeciwko gospody, a kto wie czy nie dalej, przeniesie się gdzie indziej. Na boisko, do świetlicy, do klubu? Klub! Jest w Rozprzys klubowo-kawiarnia GS! I co? Ano — nic! Za miesiąc, dwa, zostanie zlikwidowana, bo GS przetrabia budynek na magazyn. Innego pomieszczenia dla niej nie ma. Ponieważ któryś wprawdzie napomykał, że to tak niewielka strata, bo prócz kawki i tak nie tam nie było. Okazuje się, że nieprawda. Sa spotkania i to wcale ciekawe. Weźmy chociażby taki wieczór poświęcony omówieniu najprostszych zasad zachowania się w towarzystwie. Taki uproszczony *savoir vivre*. Chwyciło? Jasne! Przyjeżdżał też delegat z Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, opowiadał o instrumentach muzycznych. Trzeba wiedzieć z czym można wyjść do młodzieży, co ją zainteresuje. Gitara elektryczna na pewno.

Pod jednym względem nie ma żadnej różnicy między największym miastem a najmniejszą nawet osadą.

Wszędzie istnieje pewien gatunek ludzi, którym jest wszystkiego za mało. Społecznicy...

Magister Wiśniewski jest członkiem i przewodniczącym rozmaitych komisji społecznych. Jest także kierownikiem apteki w Rozprze. Sporej apteki bo mającej swoje punkty w kilku wsiach. W wolnych chwilach pielęgnuje niewielkie alpinarium z roślinami leczniczymi. Z dumą podkreśla, że niektóre są nawet ładniejsze, niż w oibryzm alpinarium SGGW w Rogach.

"Myśleliśmy już dawno o zrobieniu własnego boiska. Młodzież miałaby gdzie się wyżywać. Władze powiedziały: zainicjujcie czyn społeczny, a my dołożymy resztę. Ludzie jednak wolą się zabezpieczyć. „No dobrze — mówią — damy robotę, a potem niech z tego nie wyjdzie? Niech zaczną robić, to my dołożymy się z przyjemnością". I tak, widzi pan, wleczę się do wszystkiego w nieskonńczoność. W Rozprzy nie jest najlepiej z wodą. Jedna studnia głębinowa przy Osrodku Zdrowia i studnia publiczna z wodą zaskórnią. Chcieliby założyć wodociąg ale wszystko rozlało się jakos".

— Jak to jest z tym wodociągami?
— pytam przewodniczącego GRN.
— 230 metrów rur, leży już chyba
od pięciu lat. Dalej nie możemy ru-
szyć, bo brak funduszy.

Wspomany już poprzednio p. Ba-
biński pracuje w Rozpry od 1930 ro-
ku. Ma doskonałą możliwość porów-
niania. „Szkoda gadać. To już nie
Rozpra. Tartak, co tu był przebudow-
wany i teraz pracuje w nim masę
ludzi. Ostatecznie, jest tu tylko 1.300
mieszkańców, a tylko niewielu z nich
ma swoją ziemię. Pracują ludzie w
Piotrkowie, na kolei, przeważnie mu-
szą dojeżdżać do pracy daleko. Przy-
dałby się i tutaj jakiś niewielki za-
kład rzemiosłowy, żeby dać im
wszystkim zatrudnienie na miejscu.
Ale to raczej marzenia. Teraz, jest
Gmina Spółdzielnia, Bank Spółdziel-
czy, mleczarnia, Ośrodek Zdrowia,
tak, to już nie to. A najprostsze, wie-
pan, porównanie, to jak tutaj przyje-
chałem pierwszy raz w roku 1930, od-
stać! trzeba było czipać po kolana
w błocie. Buty z cholewami, można

było pogubić".
Drogi są można powiedzieć koni-
kiem przewodniczącego Świstaka. Od
1955 roku, kiedy objął mój urząd, zbu-
dował ich około 14 kilometrów.
Historia rzutuje na dzień powszedni.
Mieszkańcy Rozpry stajają się z nią
codziennie. Nawet ci najmłodsi, którzy
biegną na grodzisko, żeby zakurzyć
papierosa i zagrać w przetruszone
karciąta.

LESZEK ST. RUDNICKI

LESZEK ST. RUDNICKI

str. 3

**Dzień
Powyzedni**

Dalszy ciąg ze str. 1

Grupa historyków, przekopali gruntownie położony na wschód od dzisiejszej Rozpry teren dawnego grodziska. Znaleźli sporo. Dokopali się aż do IX wieku n.e. Znaczy to, że wykopana ceramika i lnne znaleziska liczą sobie już około jedenastu wieków. Dlaczego więc mówiliśmy przed tem o dziewięciu? No cóż! Ludzie, jak to ludzie. Z natury są raczej nieufni i czego nie mają oficjalnie, na piśmie, to już wapiłwie. Pierwsza zaś pisana wzmianka o Rozprze, pochodzi dopiero z roku 1065. Jest to tzw. dokument klasztoru w Mogilnie stwierdzający ni mniej ni więcej tylko fakt, że Rozprza obowiązuja jest płacić tamtejszym benedyktynom coroczną daninę w wysokości 7 grzywien. Grosz jak na owe czasy nie mały, zwyczajny, że jedna grzywna równała się wtedy 240 denarom słusznej wagi. Była to przy tym danina typowa dla miejscowości posiadających komorę celną i targi. Wszystko razem wskazuje, że już wtedy była Rozprza, no, powiedzmy ogólnie, miasteczką.

Choć z natury nieufni, historycy i do tego dokumentu mają niejakię zastrzeżenia, dla świętego spokoju uznali jednak rok 1065 za datę wyjściową dla jej historii. Następny bowiem dokument, w którym jest wymieniona, pochodzi z roku 1136. Będzie nim bulla papieża Innocentego II, potwierdzająca przywileje archidiecezji gnieźnieńskiej. Z wpływów pochodzących z Rozprawy wymienia się tam dziesięcinę ze zboża, żelaza, skór wlewiórczych i kurich, opłaty od kar sądowych, z targowisk i komór celnych. Była już wtedy kasztelaną, i choć początek kasztelanów znany jest dopiero od roku 1227, to już w roku 1217 napotyamy na postać sędziego rozpierskiego, Symona.

SPRAWA NIE TYLKO PIENIĘDZY

Dalszy ciąg ze str. 1

Prusa żydowski handlarz dobrze wiedział, co zyskuje udzielając klientowi kredytu. Wiał go ze swoim towarem, zdobywał nabywców na przyszłość, często pomnożonych o otoczenie klienta, a więc tylko pozornie popełniał paradoks — oddając — zyskiwał.

Dziś można uśmiechnąć się do metod przetrwania kupca w szlafmycy. Ale pozostał podobny mechanizm spoglądania na własny interes przez okulary „jutra”, a nie tylko dnia dzisiejszego.

Na co więc konkretnie możemy liczyć przydzielając stypendia Marokańczykom, Kongijczykom, studentom z Wenezueli czy Mauritiusa, zapewniając im warunki bytowe na 5-letni okres studiów? To pytanie często zadają ludzie zetknięci z rzeczywistością, bez możliwości kompetentnej oceny sytuacji. Spróbujmy odpowiedzieć:

Sprawa ma kilka płaszczyzn — wiąże się one z różnorodnym oddziaływaniem polskiej rzeczywistości na obcego studenta — studiów, klimatu politycznego, kulturalnego i obyczajowego. Nie sposób przewidzieć całokształtu wyniesionych przez absolwenta doświadczeń. Najprościej stosunkowo, bo już sprawdzalnie układa się sprawa zależności — liczba obcych absolwentów naszych uczelni technicznych — stan naszego handlu i eksportu przemysłowego do krajów, z których przybywa do nas młodzież.

Nie jest to, oczywiście, sprawa automatyczna, ale gdy przyrzec się jej — zrozumiała. Jest bowiem rzeczą naturalną, że student z Maroka, który studiował na Wydziale Budowy Maszyn PW, poznał park maszynowy, proces technicznej obsługi i konstrukcji polskich obrabiarek i silników samochodowych — i który jako inżynier w odczytaniu będzie praktycznie stosował swą wiedzę — najchętniej sięgnie po poznany typ maszyn, znany proces konstrukcyjny, zaś mając wpływ na zapotrzebowanie importowe — podpisze umowę o kupno maszyn lub ich części właśnie z Polski, zakupi dla Maroka licencję na nasz proces produkcyjny.

I mamy już pierwszy, wyraźnie rysujący się efekt — wzrost możliwości eksportu do krajów słabo rozwiniętych w Afryce czy na Dalekim Wschodzie.

Sceptyk przytaknawszy temu rozumowaniu, przyklasnąwszy niewątpliwym efektom, powie zaraz — dobrze, to absolwenci szkół politechnicznych, ale przecież nikt nie zastęga, przyjeżdżasz, bracie, idź na politechnikę, bo tylko to nam się opłaca. Przecież lożymy też na plastyków, filologów, medyków.

Prawda, ale i to spojrzenie sceptyka jest przekornie jednostronne. Niezależnie bowiem od kierunku ukończonych studiów — nie tylko wiedza, ale setki innych powłaz na Polskę, pozostają w pamięci, nawet w mentalności naszych studentów.

Jeżeli absolwent ekonomii zajmie odpowiedzialne stanowisko w odpowiednim ministerstwie swego rządu, wykorzystając z pewnością te plusy gospodarcze, jakie przynie-

sie jego krajowi kontakt z Polską. Medyk pozostanie w kontakcie z naszymi placówkami naukowymi i będzie potrafił wykonać rzadko produkowane u nas środki lecznicze, o których skuteczności przekonał się w trakcie studiów i praktyki w szpitalu.

Dziedzina nie dostarczająca wyprawdzie od razu widocznych efektów, lecz nie mniej ważna, są zadzierzgnięte wiezy typu kulturalno-propagandowego. Do Łódzkiej PWSTiF przybywa rocznie kilku studentów zagranicznych, najczęściej są to ludzie z dyplomem szkoły wyższej, nierzadko po pewnej samodzielnej karierze artystycznej. Studia reżyserskie, aktorskie, operatorskie oprócz wiedzy i rzetelnego opanowania warsztatu przynoszą w większości wypadków fascynację naszą sztuką — filmem, literaturą, plastyką. Po powrocie do Brazylii czy Meksyku, reżyser z dyplomem PWSTiF zachowa wiezi z poznanymi kierunkami sztuki, stylami, zjawiskami artystycznymi, wprowadzi na ekrany kin w Rio de Janeiro, Buenos Aires — polskie filmy, zapozna swoją publiczność z dorobkiem kraju, który nauczył się cenić.

Pozostaje pytanie, skąd pewność o szerokich możliwościach i przyszłych wpływach gospodarczych, kulturalnych, politycznych tychże absolwentów. Przecież nasi studenci nie od razu trafiają „na świecznik”, nie uzyskują prawa kształtowania bezpośrednio handlu i innych dziedzin życia społecznego i tylko z racji swego dyplomu. Tam sprawa wygląda jednak inaczej — krąży słabo rozwinięte dopiero teraz kształtu swoją elitę — ludzi z wykształceniem jest mało, trafiają więc po studiach na wysokie stanowiska, mają duże możliwości decydowania i zapewniony prestiż.

Wspomniałem o wiezi kulturalno-propagandowej. Wbrew tej sugestii — w stosunkach naszych pedagogów z przybyszami, w charakterze ich studiów brak jest jednoznacznie pojętej propagandy politycznej. Przybywają do nas ludzie o najrozmaitszym światopoglądzie, nie pozbawieni urazów, nieufności, z krajów rządzonych przez kapitalizm, kolonializm, neokolonializm. Żyją wśród nas, uczą się, obserwują. Nie wyrażamy od nich deklaracji na rzecz naszego ustroju, manifestacji zgody, entuzjazmu — pokazujemy tylko, zaznajamiamy. Niech poznała nasz kraj, naszą politykę, osiągnięcia, programy. Niech poznała osobie to, o czym w ich krajach nie zawsze kompetentnie i nie zawsze entuzjastycznie mówili i pisze.

Te wiedzę, obok spontanicznych obserwacji trzeba im zorganizować. Zaczyna się już na lekcjach w Studium — odpowiednio ułożone teksty czytane w podręczniku języka polskiego (opracowanym specjalnie dla potrzeb słuchaczy tej szkoły przez grupę pedagogów), poprzez dobór tematów z historii Polski, poprzez pogadanki i odczyty. Ciekawie przedstawia się np. sprawa lekcji historii. Nie ma tu sztywnego programu nauki, wytyczonych tematów. Ogólny zarzys wygląda w ten sposób — pobieżnie od epoki powstania państwa polskiego do kapitalizmu, szczególnie zaś historii współczesnej, dzieła ruchów rewolucyjnych. W zależności od składu narodowościowego grupy, od jej poziomu intelektualnego, układa się wybór zagadnień.

Prof. Śmiałowski mówi: — Wybieram te fakty z historii Polski, które są w stanie zainteresować cudzoziemca, np. w związku z analogią do historii jego kraju. Tak pojęty program, luźny i elastyczny, przyczynia się do żywego, aktywnego przeżywania zagadnień historycznych. Często zdarza się, że sami słuchacze proszą o rozszerzenie jakiegoś tematu lub wyjaśnienie faktu czasem nawet z pogranicza historii. Np. całą lekcję musieliśmy poświęcić sprawie reformy rolnej i nacjonalizacji przemysłu po wojnie — Brazylijczycy prosili o tyle szczegółów,



Fot. Konstanty Jarochoński

zaangażowali się w tak gorącą dyskusję, że musiałem na lekcji podać im szereg pozycji książkowych obszerniej ustawiających ten problem. Kłody wynikały na lekcji sprawa polsko-gdańska i pretensji Niemców do naszych zachodnich granic — musiałem wprowadzić dodatkowy wykład sięgający do czasów napadu krzyżackiego i spalania miasta w 1308 r. Ogólnie biorąc — zainteresowanie ich historią gospodarczą i polityczną Polski jest ogromne. Różnie wygląda sprawa interpretacji faktów, ale w trakcie dyskusji, których nigdy nie unikam, przekonuje się, że sugerowana przeze mnie interpretacja najczęściej trafia do słuchaczy — na egzaminie potrafili wykażać się rzetelnymi wiadomościami.

To, że martwe fakty historyczne potrafia ożyć w dyskusji i prawdziwym zainteresowaniu wynika także z faktu, że słuchacze reprezentują kraje o rozmaitym szczeblu rozwoju politycznego. To, co dla nas jest tylko litera historii, dla nich stała się analogia do rodzimej współczesności. Mamy przecież Angolczyków z kraju o strukturze kolonialnej, ustroju wciąż niemal feudalnym, Kongijczyków po doświadczeniach młodej rewolucji Lumumby, Ghańczyków zaangażowanych w sprawy przewrotów politycznych. Nasza historia pulsuje dla nich ży-

ciem, głębsza lub bardziej powierzchowna analogia, uczą realnego, współczesnego myślenia.

Mówiłam już o werbunku studentów przez naszych dyplomatów. Zdarza się także wypadki ciekawsze. 2 lata temu przybyła z Polonii Amerykańskiej Irena Tysz, wnuczka górala spod Nowego Targu, emigranta sprzed II wojny. Nie znała polskiego, ale pamiętała kraj z opowiadań dziadka. Studiowała ekonomię.

Jeszcze dziwniejszy spłot przyczyn skierował do Polski pewnego chłopca z Japonii. Jego ojciec zaprzyjaźniony był z czasów wojny z jednym z obecnych profesorów Studium — przyjechał do Polski, w trakcie nauki zaczął poznawać polską literaturę, trafił na Prusa, zafascynowała go „Lalka”, „Faraon”, opowiadania. Wybrał polonistykę. Obecnie pracuje jako dyplomata w naszej ambasadzie w Tokio.

Nasze kontakty ze światem pomnażają się przez fakt przyjmowania zagranicznych studentów, zdobywamy przyziół w różnych stronach obu półkul, a obok tych wiezi przyjacielskich, emocjonalnych, możemy liczyć także na konkretne, widoczne efekty tej linii polityki naszego państwa.

ITA TUROWICZ

JERZY URBANKIEWICZ

Poruta knaaje

Była Łódź, lat temu kilkadziesiąt, miastem złodziejskim jak rzadko które. Wynikało to z faktu, że do ziemi obiecanej ciągnął każdy, kto chciał zrobić majątek, a nie każdemu chciało się pracować. Wynikało to też z innego faktu, z tego mianowicie, że wieś Bałuty była w latach osiemdziesiątych miejscem, w którym osiedlano zwolnionych z więzień przestępców.

W całym mieście, a zwłaszcza w północnych jego dzielnicach, przysięgającym do Bałut, złodzieje działali tak bezczelnie, że znano nawet konie i wóz, którymi po pracowitej nocy wywozili łup za miasto. Dokuczyło to jednak mieszkańcom i kiedyś sprawili eskortę tego wozu także lanie, że tylko dzięki interwencji policji z życiem uszła. Ponieważ zaś samosady nad schwytanymi złodziejami zdarzały się często, przyjeźli oni zasade, że się nie kradnie na własnej ulicy, t. j. tam, gdzie ich znają. Toteż kiedy popularny w południowej części miasta złodziej, niejaki Zagorski chciał zmienić mieszkanie, przysłał do niego delegacja całej kamienicy z gospodynią na czele i prosiła, by ich nie opuszczał.

W domu, w którym mieszkał, zajmowała też pokój pewna chórzystka z kościoła św. Anny i wieczorami śpiewała piękne ballady. Niekiedy Zagorski szedł do pracy, a szedł przecież wieczorem, zęgnął go cudowny głos Łódzi. Oświadczył się, został przyjęty, weselu przyglądała się cała ulica, a potem — normalnym trybem: on chodził na noc do pracy, ona nuciła ballady, póki nie trzeba było zmniejszyć ballady na kotyśanki. W tym to czasie zaczął się Zagorski oglądać za innymi kobietami, wreszcie przegnął Łódź i został sam z dzieckiem. Nazajutrz

zjawiło się kilkunastu krewnych Łódzi i lewymi rekami zapukali do mieszkania, gdyż prawe trzymały w kieszeniach, za pazuchami, lub za plecami. Zagorski powiedział: „Proszę!”, otworzył drzwi i zanim goście wylądowali cel przybycia, obłą ich wcześniej przygotowanym wrzaskiem. Wobec tego krewni spróbowali pokojowych, kulturalnych pertraktacji i te osiągnęły zamierzony cel. Łódzia wróciła do meza i zaraz potem odbyły się imieniny Zagorskiego, będące uczta pojednania. Trwały dwie doby. A drugiego dnia w południe na środku ulicy Kaliskiej ukazał się Zagorski w kałesonach, za nim tłum gości i kapela. W ten sposób przemarszerowali przez całą Zarzyską, aż do pl. Reymonta. Do niezwykłego tego pochodu doszło dlatego, że któryś z gości zwątpił, by Zagorskiemu starczyło odwagi na dokonanie takiego spaceru w takim stroju. Założyli się o litra i — jak widać — Zagorski wygrał.

Złyło się Zagorskim różnie — i dobrze i źle. Jeśli on wracał do domu z cierniem zadrzeżenia w sercu, kazał Łódzi klekać i mówić „Wieczny odpoczynek” we własnej intencji. Kiedy zaś w 1939 roku szedł na mobilizację, wzięł kota jedną ręką za ogon, drugą za głowę i publicznie wyrzekł te słowa: „Łódzia, uważaj, bo będzie z tobą tak”. W tym momencie pociągnął kota w dwie strony, rozrywając mu kregosłup. Podobno nie przeżył Zagorski tej wojny.

Nie był on samotny w swojej dzielnicy. Przy tejże ulicy Kaliskiej mieszkała liczna rodzina Pawelców, uprawiająca fach złodziejski z działa pradziada. Letnimi wieczorami, kiedy stary Paweł szedł w liceum asyście synów i zięciów w kierunku miasta, siedzący na przyzbach sąsiedzi mówili: „Już blisko śma, bo Pawełcy idą do pracy”.

Toteż gazety rolły się od wiadomości o kradzieżach, sposoby zaś ich dokonywania stanowiły niesłychanie interesujący i barwny temat sąsiedzkich rozmów. Oto z sali sądowej skradziono łom żelazny, będący dowodem rzeczowym. Stało się to po wyrzuceniu sadu na naradę. Kiedy jakiś człowiek podchodził do stołu i brał ów łom, obecni myśleli, że przysłał go sąd. To znów skradziono cały kiosk. Złodzieje wywieźli go w ustronne miejsce i dopiero tam opróżnili. Wyjątkowa bezczelność złodziei ujawniała się przy okazji okradzenia pewnej pani z biżuterii. Biżuteria ta leżała na stoliku obok łóżka. Zabrała ją, a na jej miejscu postawiła szklankę zimnej wody, z której owa

pani, nie widząc kosztowności, skwapliwie skorzystała.

Złodzieje łódzcy, podobnie zresztą jak złodzieje całego świata posługiwali się własnym żargonem, którego próbki znajdzie czytelnik niżej. Zapewne do dziś język ten uległ pewnym modyfikacjom, wynikającym z ogólnych zmian w cywilizacji świata. Wtedy, przed pierwszą wojną, mówiono tak:

— Antek, knaje facjent. Dziachnij go w trójce i zabierz chróst. Ja będę z łazega i jednym siewranym w kapeli. Tam napijesz się artyku i dziachniesz mi motok. Poruta knaje! Wystawa!

A oto tłumaczenie:

— Antek, idźcie człowiek. Daj mu w gębę i zabierz ruble. Ja będę z kobietą i jednym kolegą w szynku. Tam napijesz się piwa i podzielisz ze mną. Patrol idzie! Uciekać!

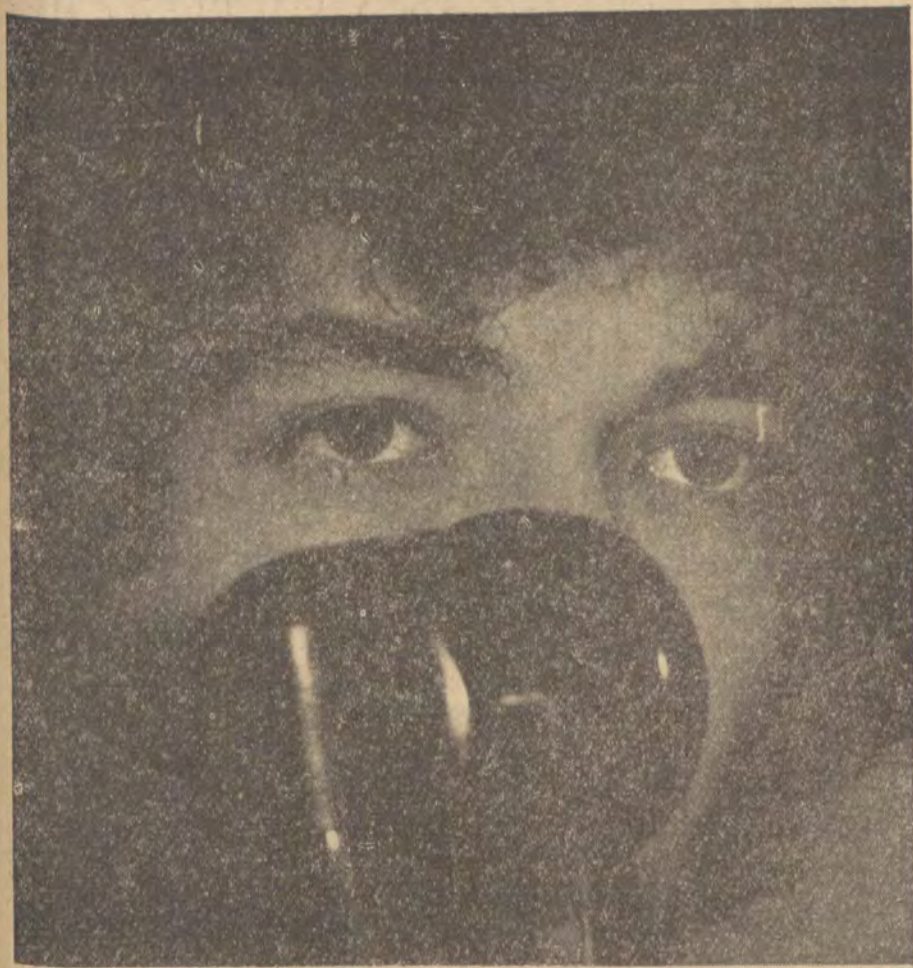
Złodzieje łódzcy dzielili się na: marwi-cherów (kieszonkowców), kastelmacherów (kaspiarzy), szlamgajarów (nocnych mieszkańców), szopenfeldziarzy (sklepowi) i kerncyperów (tych, którzy okradali jadące wozy). Ta ostatnia kategoria nie przetrwała pierwszej wojny, gdyż Niemcy skonfiskowali wszystkie konie i wozy i w ten sposób zabrakło pola działania. Kerncyperzy stawali wówczas wobec konieczności przekwalifikowania się. Jeśli mowa o tamtej wojnie, to złodziejstwo tak się rozpowszechniło, że burmistrz, wobec bezradności policji, wydał odezwo do rabbinów, aby ci wpłynęli na baserów i zabronili im kupowania przedzdy od robotników. Zdaje się, że to w żadnej mierze nie pomogło i okradani musieli szukać własnych sposobów obrony. W tej dziedzinie — jak w każdej innej — każda nowa akcja napotykała przeciwności, a więc nowe sposoby walki ze złodziejstwem. Stosowano w Łodzi dwojebny sposób walki ze złodziejstwem kieszonkowym: we wnętrzu kieszeni, w której były pieniądze, wszywano... haczyki na ryby.

W każdym państwie czy mieście istnieje to, co nazywa się światem podziemnym, czy światem przestępczym, a co posiada mnóstwo cech wspólnych, ale i specyfike własnego terenu, własnej mentalności, własnej sytuacji gospodarczej, własnej tradycji. W Łodzi kradziono, jak kradziono gdzie indziej, charakterystyczny zaś typ łódzkiego, specyficznie łódzkiego przestępcy charakteryzuje na poniższych przykładach.

Niejaki Gertler uprawiał proceder, który sam nazywał: „Pieniądz leży na ulicy”. Jak go można podnieść — łatwo zrozumieć na przykładzie codziennych zajęć Gertlera. Za

niewielką opłatą otrzymywał od listonoszy zawiadomienia, jakie Urząd Skarbowy rozesłał do fabrykantów. Wśród nich wyszukiwał nakazy płatnicze różnego typu, często mające charakter tego, co nazywamy dzisiaj domiarami. Jeżeli dokument opiewał na dużą sumę, sprawa nie interesowała Gertlera, zwracał go listonoszowi. Jeżeli natomiast chodziło o sumę niezbyt dużą, wypoczywał zawiadomienie na kilka dni, następnie szedł do fabrykanta i uprzedzał go, że Urząd Skarbowy chce na niego nałożyć domiar w wysokości znacznie większej niż to wynikało z zawiadomienia. Jednakże on, Gertler mógł załatwić, że suma będzie mniejsza. Dostawał za te przysługę sto czy dwieście złotych, a przysługa — jak się łatwo domyślić — polegała na zwrocie dokumentu listonoszowi i oto ucieczony fabrykant dostawał nakaz na opłacenie sumy dawno planowanej przez urząd, ale przedstawionej przez Gertlera jako dwa razy większa. Rozeszła się fama, że ma znajomości, i że... jest uczciwy. Bo, istotnie — nigdy nie brał pieniędzy, jeżeli sprawy nie „załatwił”, w opisanym wyżej znaczeniu słowa.

Łódzki świat złodziejski wydał kilka osobistości wybitnych. Najbardziej znana jest postać Borsztajna, nazywanego Slepym Maksem. Wachlarz jego działalności był szeroki, toteż w różnych procesach sądowych występował w różnych rolach, jako zbrodniarz, jako konfident policji, jako świadek. Zasadniczą jednak jego działalność była zakamuflowana nazwami różnych instytucji i organizacji, do których należał, lub o które się ocalał. Oficjalnie prowadził biuro pomocy prawnej pod firmą: „Obrona”. Zafeciu temu zupełnie nie przeszkadzał fakt, że Borsztajn był analfabeta. Do interesu trzeba mieć głowę, a nie świadectwo szkolne. Za szyldem „Obrony” kryła się inna instytucja, działająca nieoficjalnie a nazywana „Bratnia Pomoca”. Ten typ stowarzyszenia stanowił dość często spotykana organizację, której celem było zbieranie posagów dla niezamożnych panien żydowskich. Jednakże za „Bratnią Pomocą” Slego Maksa kryła się znów jakaś inna, nieoficjalna i chyba nigdy nieujawniona działalność. Był poza tym członkiem również nierozszyfrowanej organizacji „Dardanele”, członkiem dyndlojry, czyli złodziejskiego sadu, szefem szajki „Braci Mocnych”, a niezależnie od funkcji pełnionych w wymienionych organizacjach, był też tzw. „dusićlem” — na zlecenie wierzycieli szedł do niewypłacalnego dłużnika, wyduszał na-



BOB DYLAN

Włosy na pewno za długie, stroje banalne. Te dziwaczne postacie krążą po rozległych korytarzach pańskiego hotelu „Georges V”. Ostentacyjnie i godnie, jak pawie lub strusie. Hotelowi goście mają czarne dni — dziwni goście ganiają ich bez sensu i litości, wydając najbardziej niedorzeczne polecenia. W czasie śniadania zajmują w restauracji małe stoliki pod parasolem, nie zważając na to, czy są zajęte, czy też nie. Kelner rumieje się, podając im mleko. Nie w szklance, lecz w wielkich litrowych butelkach! Bob Dylan, ich mistrz, czy też bożyszcze, jak kto woli,

nie schodzi; odpoczywa w swoim pokoju. Wcale nie dlatego, że chce być mniej adorowany, niż inni członkowie jego zespołu. Wprost przeciwnie. Noblesse oblige! Bob Dylan. Jest to młode stworzenie o przeraźliwie bladej twarzy i wprost niewiarygodnie wątlwym i cheralawym ciele. Spojrzenie twarde i nienależące, oko bladoniebieskie, czarne rozszerzone źrenice. Jego sarkastyczny humor przejawia się w spontanicznych replikach, wygłaszanych półgłosem, nieco przez nos, tonem napuszonego. Przeraźliwa bladeść twarzy podkreśla ostrość spojrzenia; jest to

olbrzym, zamknięty w ciele elfa. Podczas rozmowy przeskakuje z tematu na temat, myśli pogania myśli, a za chwilę wraca nagle na początek. Nieraz wystrzelił na estradzie jakimś „numerem”, czy to seria paskudnych grymasów, czy jakimś krótkowilnym tańcem, czy wreszcie gnąc się i łamiąc w stawach, jakby za chwilę miał runąć na deski. Nie jest to jednak jakiś żywiołowy odruch, tak by się mogło wydawać tylko na pierwszy rzut oka; wszystkie swoje ruchy i gesty ma pod kontrolą.

Ten „ambasador” zbuntowanej młodzieży amerykańskiej, nazywany „ojcem ludowej piosenki”, przybył do Francji po raz pierwszy. Recital słynnego Boba Dylana odbył się na deskach Olim-

pii. Wnętrze estrady — było to niejako tło — przysłonięto ogromnym amerykańskim sztandarem. Zaraz na wstępie, po odsłonięciu kurtyny, padły z sali okrzyki: „US go home!” i „Zerwać flagę!” Inni dowcipnie gwizdali z całych sił. Potem wyszedł na scenę Dylan. Trupi, niemal w lachmanach, długie włosy ułożone w twardą szczecinę. W twarzy schorowanej dzieł czynny duży, zapadnięty i nieprzytomny. Śpiewa nieco przez nos, jakby tylko dla siebie, akcentując na gitarze stale ten sam akord. Zatacza się, wydaje się, że zaraz upadnie.

Nagle staje. Siaba akustyczna zmusza go do przestrojenia instrumentu. Trwa to dość długo. Widownia pokrzykuje i pogania go. Dylan oburza się:

„— Może mi ktoś pożyczy gitarę?!”

— Mnie jest wszystko jedno. To dla was próbuję ją nastroić!..

— Poczytajcie gazetę!.. I na koniec:

„— Folk song jest zawsze taki sam!”

Ma rację. Rzeczywiście „taki sam”. „Folk song” narodził się w kafejkach. Stamtąd wyniósł swój przedziwny kształt. Atrakcją tych coffee-houses, gdzie rozmawia się o polityce i awangardowej literaturze, są właśnie owi anarchizujący piosenkarze. Odziani w lachmany, z gitarą przewieszoną przez ramię, idą od miasta do miasta, nieraz autostopem, by deklamować ze śpiewem głosić swe idee; jest to mowa obrończa rasowej integracji, agitacja na rzecz pokoju na świecie, czy ostrzeżenie przed nuklearną zagładą. Śpiewają też o niedoli nędzarzy, o smutku zwaśnionych kochanków.

Joan Baez, Odetta, Peter, Paul i Mary i jeszcze wielu innych, mniej znanych, którzy śpiewają piosenki Boba Dylana (napisał ich ponad 200), są zgodni co do tego, iż jest on jedynym i autentycznym mistrzem folk song — ludowej piosenki.

Dziś, niektóre piosenki, wywodzące się z folk songu, „zbuntowani młodzi” adaptują, aktualizują. Choćby taka religijna pieśń „We shall overcome”; dziś stała się hymnem amerykańskich bojowników o obywatelskie prawa. 200 tysięcy ludzi śpiewało ją podczas marszu na Waszyngton w 1963 roku.

O ile lata 1950-te były w Stanach Zjednoczonych latami chwały Jamesa Deana, Marlona Brando, Elwisa Presley’a, o tyle lata 1960-te są, i pozostaną, latami rewolucji i protestu. Jesteśmy świadkami prawdziwego wzrostu świadomości, niemal ogólnego zaangażowania się młodej amerykańskiej generacji w walce przeciwko dyskryminacji rasowej, niesprawiedliwości społecznej i wojnie w Wietnamie.

„Przed Bobem Dylanem — pisał pewien nowojorski krytyk — wśród młodzieży cieszyły się wzięciem piosenki o miłości, mniej lub bardziej głupawej, o uczuciowych flirtach. Dziś Bob Dylan odnosi sukcesy, podejmując tematykę tak poważną, jak amerykańska polityka zagraniczna, bieda, walka o prawa obywatelskie.

— Doprawdy — kontynuuje ów krytyk — jest to indywiduizm, który wywiera największy wpływ na dzisiejszą młodzież.”

Gitara i banjo są dziś dla młodych Amerykanów karabinem maszynowym i bazą pokoju. Ponad 7 milionów tych instrumentów muzycznych krąży po Stanach Zjednoczonych. W roku 1965 sprzedano w USA 100 tys. gitar. W Newportie, na festiwalu piosenki ludowej, było o 20 tysięcy słuchaczy więcej, niż w roku poprzednim. Nie ma marszu protestacyjnego, nie ma strajku, jakiegokolwiek manifestacji, żeby młodzi nie nieśli ze sobą gitar i nie śpiewali. Piosenki te ukazują się w wydawnictwach, część z nich przerabia się na ballady. Ponieważ, jak mówi Bob Dylan: „... to są słowa, które zawierają najwięcej, to są słowa,

które zmuszają do refleksji, słowa, które budzą czujność. A muzyka, melodia pomagają je tylko zapamiętać.”

Bob Dylan odrzuca wszelkie zaszklakowanie go jako „polityka”. Nie bierze udziału w żadnym ruchu, nie należy do żadnej organizacji, czy też komitetu obrony czegokolwiek. Jest przede wszystkim indywidualistą, rewolucjonistą, pacyfistą. Pochodzi z Duluth (w St. Minnesota), z aptekarskiej rodziny. Wydalono go z uniwersytetu Minnesota za odmowę wzięcia udziału w sekcji królika.

Z piosenek Dylana wylaniają się idee człowieka zaangażowanego, protestującego, oburzonego pacyfisty. Jedną z piosenek brzmi tak:

„Druga wojna światowa
Trwała cztery lata.
Przepraszaliśmy Niemców
I znów stali się naszymi
przyjaciółmi
Mimo, że zglądzi
W piecach sześć milionów
ludzi
Teraz Niemcy także mają
boga
Dziś musimy okazać nie-
nawieść do Rosjan
Z całego serca, z całej du-
szy
Jeżeli znów wybuchnie
wojna
Wrogami będą znów ci sami
Trzeba ich nienawidzić i
stronić od nich
Ostatnie i zbroić się
I z męstwem to przyjmować
My też mamy boga...”



leżność i brał za to 40—50 proc. wyduszonej kasy.

Po raz pierwszy nazwisko jego nabrało rozgłosu w roku 1930, kiedy kolo restauracji Leicygiera przy ul. Wschodniej 28 zastrzelił niejakiego Sruła Kalmana Balbermana. Maks zaczął uciekać takśkawa, za nim pomykał samochód z policja. Przypadkowo zderzył się z chłopskim zagrodzi takśkawa, drogi i Maks dostał się w ręce władz. Jednakże rozprawa sądowa przebiegała w atmosferze dziwnie dla oskarżonego korzystnej. Wzrost postawione osobistości składały wybielać go zeznania. W następstwie czego sąd uznał, że zabójca działał w obronie koniecznej i zwolnił go od winy i kary. W tym czasie Slepny Maks miał się czymś kiedyś przysłużyć Piłsudskiemu i stał tego bezkar- nym. Sprawa zaś owego zabójstwa polegała podobno na tym, że Balberman był przed wojną szefem „Bratniej Pomocy” oraz niejakim faktycznym konkurencją szefi. God- ności te po jego śmierci uzyskał Maks. Po rozprawie Slepny Maks wsiadł z żoną do do- rogi i kolejno złożył kurtuazyjne wizyty wszystkim członkom zespołu sadowego.

Drugi proces, w którym więcej mówił nie o świadku — Slepym Maksie, niż o oskarżonym — inspektorze policji Nosku, odbył się kilka lat później. W procesie tym chodziło o jakieś anonimowe oskarżenie róż- nych sanacyjnych urzędników, głównie nad- komisarza Weyera. Przy tej okazji uia- wiono, że istniał dziwnie przyzwykłe stosun- ki pomiędzy członkiem dyktory a inspekto- rem policji. Z materiałów tego procesu wy- stąpiła, że część łódzkiego świata przestępcze- go mogła zupełnie spokojnie uprawiać swoją działalność pod opiekunkami skrzydłami Maks, część zaś znajdowała się ustawic- nie pod obserwacją policjantów. Do pierw- szych należał na przykład właściciel cu- kierni „Atlantic”. Fajwel Neufeld, chociaż wiadomo było, że miał kiedyś lupanar w Buenos Aires i maczał palce w wielu brud- nych interesach. Za to w cukrowni Szwarc- bergów wciąż odbywały się rewizje. bo właściciele nie chcieli dać okupu Maksowi. Z zeznań świadków wynikało, że Maks po- stawił inspektorowi Noskowi cenne prezenty, a potem w swoim biurze porad prawnych przeprowadzał kalkulacje, czy korzyści ta droga uzyskane równoważyły wydatek na prezent. Dla wspomnianego wyżej sprawy istotne znaczenie miał problem, czy Slepny Maks był w mieszkaniu nadkomisarza Weyera, czy nie. Nadkomisarz przeczył. Wówczas Slepny Maks złożył oświadczenie,

że w czasie każdej wizyty u Weyera wy- cinał nożem znaczek na biurku. Można iść i sprawdzić.

Rola Maks w międzywojennej Łodzi świetnie charakteryzuje wydarzenia zwi- azane ze znaną restauracją noszącą nazwę „Louvre”. Mieściła się przy ul. Piotrkow- skiej 86 w lokalu zajmowanym dziś przez „Dom Książki”, należała zaś do niejakiego Kublewicza. Kiedy Kublewicz umarł, syn uciekał w błyskawicznym tempie fortune oia przepuścił. skutkiem czego matka odeszła upadłość. Kuratorem tej upadłości sad wy- znałszy szef i stręczyciela nierządu, nieja- kiego Benke, który opiekował się w „Lou- vre” gabinetami. Kiedy fakty te doszły do wiadomości sadu, decyzję te cofnięto. Ku- blewiczowa powierzyła sprawę adw. Szef- rowi, który restaurację sprzedał a uzyska- niemi pieniędzmi zaspołkoł wierzycieli. Ku- bill „Louvre” dwaj wspólnicy, niezbyt szczęśliwie dobrani charakterami, gdyż je- den z nich ciężko pracował, a drugi przy- chodził tylko po pieniądze. Pokrzywdzony zwrócił się do adwokata z prośbą o radę, adwokat obiecał sprawę przemysłać, ale nie- cierpliwym wspólnik nie czekał rezultatów mecenasowego myślenia a udał się wzrost do Słepnego Maks. Ten wysłuchał obu stron, następnie wiał rewolwer jako gwarancję natychmiastowej wykonalności jego orze- czenia i oświadczył: „Pan tego szmunda- ka spłacać i koniec sołki”. Spółka została roz- wiazana w ciągu pół godziny.

Toteż Slepny Maks mawiał o sobie: „Ja, który wyrok sadu obalałem”. Jeżeli przy- chodziło do urzędu a urzędnik go pytał: „Jak się pan nazywa”, wychodził, mrucząc obu- rzony: „On śmie mnie pytać, jak ja się na- zywam...”

Abv z bogatej osobowości Maks wyluskać jeszcze jedną cechę, warto przypomnieć pa- re faktów, w których występował on jako obrońca uciśnionych i biednych. Służąca za- szła w ciążę a sprawca nie chciał się żenić. Poskarżyła się Maksowi. Maks wezwał nie- uczciwego narzeczonego a następnie dał mu termin 7 dni, po których miał przynieść zaświadczenie o zawarciu rabinackiego ślu- bu lub... worek na kości.

Przy ul. Cegielińskiej stał dom niejakiego Szlosberga. W domu tym mieszkał pewien bezrobotny inżynier i zalegał z opłatą czyn- szu. Kamienicznik i administrator spowo- dowali eksmisję. Żona inżyniera poszła za- rada kumoszek do Słepnego Maks. Ten ka- zał dać sobie znać, kiedy przyjdzie komo- rnik. Zjawił się wtedy u administratora i za-

pytał go, dlaczego biednego człowieka wy- rzuca na bruk. Kiedy administrator począł wysuwać swoje racje, Maks chwycił wielki kryształowy wazon i rozbil go o podłogę.

— Co pan robisz, co?

— Bądź pan szczęśliwy, że to nie o pań- ską głowę. Masz pan godzinę czasu. Albo inżynier będzie miał spokój, albo...

Poza sprawą Balbermana Slepny Maks ter- roryzował na ogół zachowaniem się, a nie uciekał się do noża czy pistoletu.

Jego — jeśli tak można powiedzieć — nor- malny tok pracy, wyduszenie należności wywalało tak, że przechodził do zaintere- sowanego w czasie posiłku, chwytając róg obrusa, zrzucał, co było na stole, na ziemię, i domagał się wypłacenia należności, licząc na miękkość sterroryzowanego w ten sposób dłużnika.

I aby zakończyć charakterystykę tej nie- zwykłej postaci, słów kilka na temat: Slep- ny Maks a muzyka. Bronisławowi Huber- manowi skradziono skrzypce. Wielki ten muzyk w pełni docenił wartość własną oraz wartość swoich skrzypiec. Zresztą był w Paryżu wynadek, że kiedy skrzypkowi norweskiemu, nieco mniejszej niż Huberman miary skradziono skrzypce, rzucił się do Sekwany. Huberman poprosił za radą ko- goś żywciznego — Słepego Maks a pomoc. Maks — za telefon i skrzypce wrócił do właściciela. Za fatyge Maks poprosił, by Huberman zagrał u niego w domu. I rze- czywiście, w najbliższy piątek odbył się taki prywatny koncert.

Zupełnie w innym typie był Gerszon Cyk, zamieszkały przed tymczasem wojną przy ul. Ciemnej pod osmym. Zaczął jako złodziej kieszonkowy w wieku lat 14. Stwierdził jednak rychło, że intelekt jego nadaje się do rzeczy większych i począł fałszować podpisy na dokumentach. Niemców, którzy zajęli Łódź w czasie wojny, postanowił wy- korzystać dla swojej kariery, oddał się im więc na usługi i począł denuncjować człon- ków „Poalei Syonu” i „Bundu”. W ten spo- sób wkraść się w zaufanie okupantów i zo- stał szpiegiem, początkowo w sprawach drobnych, później dostarczał informacji co- raz ważniejszych, aż wreszcie zdobył pla- nowy jakiegoś, czy jakichś twierdz rosyjskich ugrunтоваło jego pozycję tak dalece, że na- wet cesarz Wilhelm konferował z nim oso- biście i powierzył mu funkcje eksperta do spraw polskich. Nie znaczy to bynajmniej, by jako niemiecki dywiltarz zaprzestał swoich złodziejsko-falszerskich sprawek. Przeciwnie. Stosunki i sferę spraw, w któ-

rych się obracał, znakomicie wykorzystał dla szantaży, łapówek i wszelkich innych nielegalnych, ale korzystnych sposobów za- robkowania. W ten sposób zbił duży mają- tek i z końcem wojny przeniósł się do Ho- landii, gdzie nie tyle z potrzeby, ile z na- łogu, kradł i oszukiwał dalej. Aż kiedyś za- tesknął za miastem rodzinnym i postanowił do niego wrócić. Gerszon Cyk, który nigdy niczego nie robił legalnie, wybrał się w po- dróż na gapę. Jechał na fałszywe dokumen- ty rzekomego członka prezydium „Ameri- can Express Company”. Wszystko szło jak najlepiej, ale w Marienbadzie Gerszon po- stanowił dla rozrywki zrealizować fałszywy czek i — wpadł. Na szczęście więcej niż po- łowa majątku była zapisana krownym w Łodzi. Na szczęście — dla krownych.

Jeszcze inny gatunek złodziejskiej repre- zentował na przykład dyktor Spółdzielcze- go Banku Handlowego, Mendelson. Ten okradł administratrowy przez siebie bank na sumę 278 tys. zł. Lokal banku przy ul. Piotrkowskiej 6 otoczyły tłumy poszkodowa- nych. Byli to drobni kapitaliści, którzy po- składali niewielkie sumy jako zabezpiecze- nie na starość, lub jako posagi dla córek. Kiedy tłum dowiedział się, że drugi klucz od kasy miał prokurent i on najprawdop- odniej był obecny przy otwieraniu przez Mendelsona kasy, rzucił się na urzędnika i z trudem go obroniono od samosadu. Ra- dio nadawało komunikaty w kilku językach, Mendelson zdołał jednak uciec za granicę. Po miesiącu poszukiwań znaleziono jego safes w Banku Spółek Niemieckich i udało się odzyskać większość skradzionych pienię- dzy.

Metoda stosowana przez Mendelsona no- siła w języku sądowym i gazetowym nazwę „defraudacji”, co oburzało szerokie masy, było bowiem złodzieństwem, a miało intere- sujaca, z obca brzmiała nazwa.

PS. W prasie międzywojennej można było czasem przeczytać ogłoszenie następującej tre- ści: „PANA ZŁODZIEJA, który w dniu... ukradł mi portfel, proszę o zwrot dokumen- tów. Pieniądze proszę zatrzymać”. Wykorzy- stując powyższy wzór, niniejszym ogłaszam: PANA ZŁODZIEJA, który chce przejść do hi- storii złodziejsstwa łódzkiego (również osoby nie pracujące w tym zawodzie, ale znające tę dziedzinę w okresie przedwojennym lub wo- jennym), który chciałby uzupełnić powyższy artykuł, autor artykułu prosi o skontaktowanie się za pośrednictwem „Odgłosów”, lub tele- fonicznie 524-92.

Pływający HOTEL

(FRAGMENT POWIEŚCI)

Stałem za panna Aksyris, o krok z tyłu, jak na złość panował oślepiający skwar. Właśnie teraz, kiedy traciłmy czas na tej płaskiej i nieciekawej wyspie, bez żadnej możliwości wykorzystania pogody. Miejsce umiowane, ale spodziewanego telefonu wciąż nie było. Leonidas się nie odzywał. Marek podobno również nie miał czasu i nie mógł przyjechać. A czas upływał i niedługo cała podróż stanie się nierealna ze względu na wygaszenie wiatu.

Wyspa, a raczej pływający hotel, przy którym trochę naszytych na zakręconych kółkach ludności, nawet nie rybacy, lecz tłum przelotnych gości, w tym alfonsov, wznajmujących łodzi i kosztów pływających, wszystko, oczywiście, za grubą pieniądz, gdzie główna miara dolar lub funt. Wśród zagranicznych turystów trochę też i zbłądzonej miejscowej elity to rzucało się w oczy zresztą — przezwane starsi panowie spędzający tu swoje urlopy w towarzystwie młodych przyjaciółek. Marek w ten sposób mnie podejmował, rekompensując swoją nieobecność, jak mi się wydawało, nie bez wyrachowania, unikając i tak by maskować zdradę i tak dla mnie i asną i tym bardziej obraźliwą. Po to była mu potrzebna (nie mnie przecież) panna Aksyris, z którą obcowanie stanowiło dla mnie coraz nieznosniejszą, uciążliwą. Stokroć wolalibyśmy samotność, samotność wśród tych blaznów z podkrążonymi oczami i nadętych zasobnych gości.

Stałem więc za nią, oglądając jej odsłonięte dekolt, pęgi, kości jak u wronki, plecy. Kontur jej policzków polyskiwał w słońcu rudawym puszkim — sygnalizując wzrost dojrzewającego chłopca, co dla mnie



wyjątkowo odrażającego. Obserwowałem więc i bliskość (w sensie odległości) pogłębiała poczucie odrzuty, komplikując nieporozumienie, ponieważ panna Aksyris, jak wszystkie brzydkie kobiety, cierpiała na obsesję własnej adoracji. Kapelusze ze słomki, z dużym, elastycznym rondem, trzepotał na jej głowie: stał się na werandzie hotelowej, nad plażą pokrytą robotem kocią. Z góry, to właśnie tak wyglądało — wielkie parujące gniazdo robaków, splecionych konwulsyjnie, zniechęconych w skwarze południa, w blaskach glicerynowej powierzchni morza. I zapach kremu, smarów, olejków, pudru, unoszący się z dołu, spływający z góry, nasycający powietrze, też odróżniał i ta bliskość, przysmak, tym bardziej, że bez konwencjonalnej wymiany chociażby najprostszymi zdaniami, zawsze jednak zacierającej, niwelującej to wszystko, co jest do tłumienia, ukrywania, ukrywania nawet przed samym sobą, a tu niemożność porozumienia się z dwóch powodów — braku wspólnego języka — dosłownie i w przenośni. Bo jestem pewny, że nawet mając wszystkie środki do porozumienia się w sensie językowym, mówilibyśmy różnymi językami. I właśnie to obcowanie z sobą, bo jednak od rana i za stołem, przy posiłkach byliśmy razem, prawie bez słów, w tej stałej pantomimie, komplikowanej przez kilka zdawkowych, elementarnych zwrotów, pogłębiało mój stan wewnętrzny krzyżu, który też powodował, że te chłopce, pokryte olejami, łopatki wywoływały u mnie irytujący przypływ niepokoju.

I wiem, że właśnie dlatego, czyli broniąc się przed tym, usiłowałem patrzeć na wszystko, co nas tam otaczało, poprzez panna Aksyris, jakby była przezroczysta, albo obojętna, aż do chwili, gdy z tego ta rozbiłonego skwaru, rojącego się robotem odsłoniętych ciał, zaczęły wyłaniać się pewne postacie bliżej nas położone.

Na przykład ta para. Starszy pan, kiedyś z pewnością przystojny, lecz teraz noszący na twarzy nieomyślnie pętno burzliwej przebiegłej przynajmniej połowy życia. I jego przyjaciółka o niecałe pół wieku od niego młodsza, która można było wziąć za jego córkę, gdyby nie poufałość publicznie przez nich demonstrowana. Ta para nie zlewała się z resztą gości, bo niechętnie rozstawała się z płócienną marynarką i spodniami, jak to robili inni mężczyźni korzystając z upałów, najwyżej pokazywał się, w oślepiającym słońcu białe koszuli, z którą kontrastowała oliwkowa cera i ciemne okulary. Unikali też, jak zauważyłem, plaży i w ogóle wylegiwania się na słońcu, na co prawdopodobnie nie pozwalało mu nadciśnienie lub obawa przed zawałem. Więc

przebywali przeważnie na tarasie, na którym zawsze było przewiewnie, lub w chłodnych podziemiach kawiarni. Mielismy tu już nasze stoliki i to nas zbliżało poza tym zbyt może natręcznie obserwowałem, ale jego pani miała głowę kory kolczasta się dla mnie nieodmiennie — z Paulistowską i to od razu widziałem niepokojące, choć zdawałem, oczywiście, sobie sprawę, że tamta teraz, gdyby żyła, musiałaby mieć ponad czterdziestkę. Przeglądała też wzrok wysmukłość, kontrastująca ze sztywną niezgrabnością mojej panny Aksyris, wysmukłość całkiem jeszcze dziewczęca, ale już kształtna, zasnuta zmatowiała powierzchnią opalenizny.

Ona zresztą zaraz te moje spojrzenia przechwyciła, ale jakoś tak bezpośrednio i samokrytycznie, że nie ośmiąłem jej uwagi, sama ustaliła styl (ironiczny?) wymiany naszych spojrzeń. Parę razy nawet zauważyłem: pochylając się do swego partnera coś mu mówiła, nie przestając patrzeć w naszą stronę.



ne. Nie orientowałem się jeszcze co do ich stosunków, nie można było jednak nie widzieć, że to ona nad nim, a nie on nad nią, młoda dziewczyna nad starszym panem miała władzę, umiejętnie i skutecznie wykorzystywała. Musiał być nawet przeczulony na jej punkcie, a mimo to, nie wpatwie, że to za jej prośbą namowa? rozkazem? nawiał pierwszy rozmowę z nami. Jasne, że panna Aksyris, która — przeciwnie — potraktowała z początku to zbliżenie z nieukrywana niechęcią, odegrała tu rolę służebną. Właśnie dzięki jej obecności kontakt został ułatwiony. I po pierwszej wymianie zdań okazało się: starszy pan znał dobrze pana Leonidasa.

Miał na imię Perykles, a swoją przyjaciółkę nazywał Nike. Te ich imiona! Przyjechali tu z Aten na tydzień wypoczynku, który jednak nie służył mu, sądząc z wyglądu: podsiadła oczy i grymas zmęczenia na zużytej twarzy. Ale trzymał się jeszcze doskonale, zwłaszcza tego dnia — mocna, nie zdradzająca wieku, kiedy zapalał papierosa czy podnosił do ust szklankę z chłodzącym napojem, w którym pływały kawałki lodu.

Już po pierwszym wspólnym obiedzie (przebiegliśmy się do ich stołu), pan Perykles, pochylony ku mnie, zaczął się zwierzać: wie pan, mam już wnuczkę mało od niej młodszą, ale nigdy nie byłam tak szczęśliwy, to moja naprawdę pierwsza miłość, ona mnie też ubóstwia, między nami wzajemne zaufanie, nie mamy przed sobą żadnych tajemnic, zawsze tak przypuszczałem, a teraz wiem na pewno, że tylko taka różnica wieku stwarza na prawdę odpowiednie warunki do małżeństwa, miłość mężczyzny musi mieć w sobie element ojcostwa, potrzebę opiekowania się, natomiast kobieta — bierna, szukająca oparcia — znajduje autorytet, życiowy autorytet, pan rozumie, w starszym doświadczonym mężczyźnie. Oczywiście rzadko się zdarza, że takie natury spotykają się w odpowiednim wieku, lecz jeśli się spotkają, tworzą idealne pary. Co innego w stosunkach starszej kobiety z młodzieńcem, takie połączenie jest przeciwnie naturze, co jak kazirodztwo, i ze strony mężczyzny nie może być bezinteresowne. Obserwowałem — mówił — to, niestety, z bliska, na przykładzie własnej małżonki, niech mi pan wierzy to było wstrętne. Teraz, między innymi, jesteśmy tu dlatego, że proces rozwodowy na ukończeniu, niedługo wrócimy, aby się pobrać z Nike. Przeproszam za te wywolenia, pan powinien zrozumieć konieczność dla mnie takiej powiadomienia, uświadomionej tym, że pan nie należy do mojego otoczenia, w ogóle do mego świata. Muszę panu nawet pewne rzeczy tłumaczyć. Jak mi się wydaje, dla pana nieuprzedzone uchwytne. Bo to moje uczucie ma w sobie specjalny smak ostrości, wyjątkowości, ostateczności, nie wiem, czy wy tam, z Europy, w innym klimacie gwałtownym i wiwatopogodowym, odczuwacie tak intensywnie świadomość bliskiego końca, tak, ogólnego końca, która jak dobra przynajmniej, jak ten plepienzy sos, te oliwki, dodaje smaku wymienionemu danu. Nie, nie chwytam pan tego, widzę, muszę pana gdzieś zaprowadzić któregoś wieczora, konieczne, żeby pan chociażby z lekka się otarł. Nike, zaprowadzimy państwa do jaskini rozpuszty, co?

Spojrzałem na pannę Aksyris — czy brała nas za małżeństwo? Kobiety musiały rozmawiać o czymś znaczącym, bo raz pierwszy widziałem moją opiekunkę tak zaangażowaną rozmową: mówiła szybko, nie podnosząc oczu nad stoł, nie zwróciła też uwagi na pytanie, które sprowadziło spojrzenie panny Nike (co za dziwne połączenie: panna i Nike!) nie tyle na pytającego, co w ogóle w stronę nas, mężczyzn. Obserwując ją przy stole widziałem, jak pije, tj. w sensie — jak dużo, mimo że się nie upija, jedynie zarys jej ust, kiedy mówiła, zrobił się nieprzejrzysty ordynarny, szpecący jej rysy — rysy kory. Były to jednak obserwacje ulotne, rozproszone, nie prowadzące do żadnych wniosków, tak w końcu mi obojętne, że dopiero później, już znacznie później — je powtórzyłem.

Po kolacji, dokładnie na trzeci dzień, odciek utkwiliśmy na mieście, pan Perykles ponowił zaproszenie do lokalu.

Panna Nike znów dużo pła, a on nie próbował jej w tym przeszkodzić. Sam robił to, co ja — podnosił tylko do ust kieliszek, udając, że pije, i odstawał z powrotem. Mógł nie udawać, ponieważ jego pani nie zwracała na niego uwagi. Ciągłe widziałem ją ze szklanką czy kieliszkiem w ręku, a im więcej pła, tym natrętniej patrzyła na mnie wyzywając. Kiedy wstaliśmy od stołu, panna Aksyris wymówiła się bólem głowy i poszła do siebie. Wyszliśmy we troje. Nie miałem pewności, czy mam iść, ale poszedłem, nie tyle z niechęcią, co ze strachu przed moim wyjątkiem. Choć może nie mam racji i właśnie ciekawość, już zanurzona ciekawość łączyła mnie z tą parą, to jest cie-

ROBERT GLUTH

KOMENTARZ DO SYTUACJI MIĘDZYNARODOWEJ

radiostacje zakwitają rankiem
pękami zielonych kwiatów
radiostacje budzą się jak ptaki
pip-pip
piiti-tip
kurczowo czeplają się anteny

przez ten czas
z nieświadomości
wyrusza się moja głowa w rannej ciemności
twoje piersi są chłodne od potu

przez ten czas było dziewięć przewrotów
tysiąc osób zarżnięto na Jawie
tysiąc osób trudno sobie wyobrazić
coż dopiero z wnętrznościami na wierzchu

o zmierzchu wczoraj
obalony premier Nigerii
oczy otworzył na zawsze
zdziwione szeroko na księżyc
dzikie psy
wyszy ostrożnie
pochylone słowami pyskami

radiostacje zakwitają zielonymi kwiatami
i buszują tamte z buszu pszy w głowie
i dym wycieka spod powiek

kawość nie tego, co mi tam gdzieś pokażą,
lecz ciekawość ich samych.

I tak też się stało — obojętny dla obiektu ich zainteresowania, czyli ich zainteresowania, żeby zainteresować mnie esztyką, jeśli to obrzydliwostwo można tak nazwać, cały czas przyglądałem się im, czując wstrząsy i wstręt do siebie za moje niepotrzebne wścibstwo. Obraz Sodomy, Nike-kora tańczy pijana z alfonsem, tragiczny Perykles plecie po pijanemu o biblijnym deszczu siarki i ognia, nuklearnym —

★

Nie jestem purytaninem ani kimś skłonny do potępiania czegośkolwiek. Moralność! Tak jak przestępstwo zależy od umownych progów, które się przestępuje. Pewnie każdy dom ma swoje progi i to również jest czymś, co obowiązuje. Jednak potępiłem niesmak i odruch naturalny, jak u każdego, kto cofa się przed brudną, oślizłą ścianą. Ale śledziłem oprowadzających mnie po tej jaskini i mogłem nie zauważyć reszty. Nawet gdy zesłaliśmy do olwiczki, zanurzonej w półmroku umysłowym i wymyślnym, w lekich oparach zmieszanych z zapachem potu i przesadnych perfum, w dżazowych historycznych nawoływaniach, w tym natłoku i gwarze, przeciwnym piskliwym śmiechem lub krzykiem, i przeocaliśmy się wśród tańczących, wyraźnie widziałem, jak jakiś obrzydliwie poklepał pannę Nike po pośladku, lecz ona ona, ani tej przyszy małżonek nie zwrócił na to żadnej uwagi. Znaleźliśmy w tej ciasnocie wolny stolik, w wilgotnym kacie, i znów to picie, ostrożnie, nie odrażając nas twarzami, oblepionymi ohydą, widząc uszmiokowanych, kobietopodobnych młodzieńców o powłoczonych spojrzaniach, męskich kobiet, a może przebranych w kobiece stroje mężczyzn, skupionych przy stołkach, bezwzględnie splecionych w tańcu. A widząc to, poczułem, że tracę odporność, kontrolującą władzę nad moimi ruchami i mięśniami twarzy, i z tym — odporność wewnętrzną także. Gdy pan Perykles nalał mi pierwszy kieliszek, wyłem od razu, nie zastanawiając się. Doskonale, powiedziała Nike, teraz pan mi się zaczyna podobać, tańczy pan? I również nie zastanawiając się nad skutkami, wstałem i objąłem ją, lecz oczywiście nie wiedziałem, co robić dalej. Przerzuciłem, przecięłem ją nigdy tego nie praktykowałem. Rzadka nieumiejętność, do czegoż pan się nadaje, towarzystwie. Przytuliłem otrzęsianego rozgorzceńca do siebie i usiedliśmy. Zresztą co do niej, pocieszyła się od razu: podszedł jakiś upudrowany alfonsov i bez namysłu wstał. Panowie pozwolą? — zrobił jednak półokłon w naszą stronę. Pan Perykles siedział nie ukrwając grzeczności niecheci. Po cóż tu przyszedł? A może nie mógł nie przyjść, wolał być świadkiem i patrzeć na swoją kora, jak pijana oddalała się, spleciona z opryskiem, śledził przez podniesione do oczu kieliszek, a potem, gdy już nie było jej widać, gdy zgubiła się w tłumie tańczących, zaczął plyn, który musiał mieć dla niego smak żółci. W takiej chwili nie mógł nie mówić, wszystko jedno do kogo.

Pan widzi tę Sodomę? Teraz pan rozumie? Nie? Wie pan, co robili sodomici? Parzyli się z bydlęm, to też nie ma ludzi, tu jest tylko



Rys. Henri Matisse

ko ludzkie bydlę. Wtedy spadł na ich deszcz z siarki i ognia, burząc i paląc. Był tylko, oczywiście, symbol. Dopiero stał się możliwy prawdziwy deszcz z siarki i ognia, nazywa się — nuklearny. Do piekła pan przynajmniej pije. Coś takiego jest w Apokalipsie. Czytał pan Apokalipsę? Mało kto teraz czyta w ogóle, tym bardziej podobne rzeczy. Przyznam się, że ja sam czytałem. Ze co? pan twierdzi, że tu ktoś blisko się właśnie objawia, więc pan wie, co to jest Apokalipsa? Drugi potop z ognia? W sam raz, do tego też ludność zmierzła. Młot był dobrze pomysliany? Co? Nie zauważył pan, że wszystkie mity w końcu się sprzydają. Dla zamydlenia oczu jakby obumierały, żeby nagłe odrzucić się i zadać ludzkości śmiertelny cios. Najlepszy przykład to Termopile. Bohatersko broniona cieśnina, zresztą teraz morze się postarało, nanosiło mul, pan to już pewnie widział. Wszystko wyglądało, w tym wawoie na początku wojny Anglii, zdradzeni przez faszyzowski rząd, znaleźli się w pułapce, ten partyzanci wysadzali w powietrze w okolicach niemieckie eselon. Krwawili, aby wywalczyć nie tylko naszą wolność, ale można było odebrać Niemcom, wycofując się, drogę, ci sami Anglii potworzyli liony, które atakowały nas, swoich, wrogów. Wrogami okazaliśmy się my. Tym partyzantom rozbrojono i wsadzono do więzienia. Pan o tym nic nie słyszał? Herosi siedzieli w takim obozie w jakiejś arabskiej wiosce i byli traktowani jak małpy. A ci, którzy stali w górach i pierwsi wzywali do przetrwania, dawno nie żyją, rozstrzelano ich sadu. Czy to nie Termopile w jak najjaśniejszym komentarzu?

Mówił nie w swoim języku i pewnie tego trochę teatralnie. Szukając wyrazu, niej treści w obcym, a dlatego z trudem dającym się materiale, mówimy niekiedy i zawsze więcej niż trzeba. A tu jeszcze trudność, że i ja tłumaczę tłumaczone przez niego i ten podwójny filtr językowy stawia spotęgowana sztuczność. Zdaje się, że chciałem mu, że Termopile wzbudziły w naszych poetów wyrzuty patriotyzmu, ale nie mógł tego usłyszeć, bo przede wszystkim nie słuchał, a poza tym — zgłęb, zamęt dokota i jego niepokój — stałe słowo w takim obozie w jakimś arabskiej wiosce, i ośmił nie przewrócił się, sięgnął po jego szklankę, i gdy położył swoją rękę na jej, przeszkadzając, ujęła go za rękę mon pauvre vieux. To dopiero ujawniło, była pijana. Obserwowałem jego twarz, trzymał na nią, z litością? Zawiedziona namiętność? A może jednak nie do końca zawiedziona?

Każdy Łazarz ma w sobie to norwidowskie grób swój jeszcze odemkną powtórnie — mi się wtedy przynajmniej wydawało. Ale czułem wtórny, a nie mniej przejmujący, we mnie potęgający — smutek.

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

„IVANHOE” ALEKSANDRA DUMASA

W Dieppe, gdzie donad sto lat temu umarł Aleksander Dumas (ojciec), wystawiono ostatnio jego sztukę pt. „Ivanhoe”. Utwór jest melodramatem, jedna z pierwszych sztuk młodziego jeszcze wówczas autora. Jak wiadomo powieść pod tym samym tytułem napisał Walter Scott (1771–1832). Aleksander Dumas, jak się okazuje, czerpał pełnymi garściami materiał z powieści angielskiego pisarza do swego scenicznego utworu. Toteż „Ivanhoe” Dumasa jest niemalże plagiatem. Odezwały się więc w prasie głosy krytyczne czy należało w ogóle wystawiać tę sztukę.



Aleksander Dumas (ojciec)

Przy okazji przypomnijmy dzieło Aleksandra Dumasa (ojca). W roku 1760 wyjechał na San Domingo drobny francuski szlachcic Aleksander Davy de la Pailletterie. Po dłuższym tam pobycie wraca do ojczyzny za bierając ze sobą chłopczyka, owoc swej miłości z czarną niewolnicą. Syn miał na imię Tomasz-Aleksander. Wyrósł na olbrzymia o ciemnej cerze i wielkiej sile. Po różniwszym się z ojcem za cięgnięciem do armii. Robi szybka karierę podczas wojennych kampanii. Walczy m. in. w Egipcie pod wodzą Bonapartego. Wkrótce dobiega do ręki generała. Z przekonania żartowat republikanin, spiskuje przeciw Napoleonowi od czasu gdy ten zostaje Pierwszym Konsulem. General Dumas, (bo przybrał po rozstaniu z ojcem nazwisko matki) zmuszony jest opuścić Francję. Wpada

demnaście zaczyna pracować jako pomocnik notariusza. Gdy pewnego dnia wygrywa w bilard 90 franków postanawia wyjechać do Paryża. Dzięki protekcji jednego z przyjaciół ojca, Aleksander dostaje biuro pracy w Paryżu. Osiedla się tu na stałe spruwając do siebie matkę. Żyje w niedostatku, zaczyna pisać wiersze, swa przyszła sława. W tym to czasie nawiązuje flirt z piękną sasiadką, z którą wkrótce ma syna. Jest to przyszły autor „Damy Kameliowej”, Aleksander Dumas (syn). Ojciec nie rezygnuje tym czasem z pracy literackiej. Pisze głównie dramaty. Niektóre odnoszą nawet sukcesy. W roku 1830 gdy wybucha rewolucja Aleksander Dumas (ojciec) znany już jako autor dramatyczny, bierze w wypadkach żywy udział jako republikanin. Wyniesienie na tron Lud

wika Filipa zniechęca Dumasa do służby państwa. Rzuca urząd i zabiera się do pisania powieści. Wkrótce staje się autorem nieszczęsny po czynnym i modnym. Jego powieści, w przeciwieństwie do jego dramatów, przetrwały aż do dziś próbie czasu. Takie utwory jak: „Trzej muskietierowie”, „Wichraby de Bragelonne”, „W dwadzieścia lat później”, „Hrabia Monte Christo”, „Krolowa Margot” są do dziś chętnie czytane, zwłaszcza przez młodzież.

Aleksander Dumas (ojciec) umiera w Dieppe w roku 1870, w dniu gdy Prusacy wkraczają do miasta.

Pozostawił po sobie 60 dramatów, 257 tomów prozy belewistycznej (powieści, pamiętniki, opisy podróży). Przy pisaniu wielu utworów korzystał jednak z pomocy współpracowników.

REKORDOWA CENA ZA RZEBE

Podczas sprzedaży dzieł sztuki w Nowym Jorku rzeźba nazwana „Młoda dziewczyna, która idzie w wodzie” uzyskała olbrzymią cenę 37.000 dolarów. Twórcą tego dzieła jest znany francuski rzeźbiarz Aristide Maillol (1861–1944). Jak dotąd żadna rzeźba francuskiego artysty nie uzyskała takiej ceny. Nabywcą dzieła Maillola jest prywatny kolekcjoner, który zażądał, aby nie ujawniano jego nazwiska.

SZTUKA MURZYŃSKA NA FESTIWALU W DAKARZE

69 lat temu do angielskiego portu Folkestone zawinął statek z cennym ładunkiem. Przywiozł 2.000 przedmiotów, z których każdy był arcydziełem sztuki murzyńskiej. Była to zdobycz spławiona krwią. Bowiem konsul brytyjski w Afryce, zbieracz dzieł murzyńskiej sztuki zapragnął wybrać się do Benin (miasto i dawne państwo murzyńskie, w r. 1897 włączono do angielskiej kolonii Nigerii), gdzie jak słyszał, było mnóstwo rzeźb. W tym jednak czasie w Benin odbywały się uroczystości, w których nie mógł uczestniczyć nikt, kto miał białą skórę. Mimo ostrzeżeń, konsul poje-

chał do Benin. Został tam zabity. Wówczas Anglii wystali karna ekspedycja. Żołnierze mdleli od zapachu krwi setek mordowanych ofiar. Krwawe dzieło zostało dokonane, a dwa tysiące zabrawanych rzeźb przewieziono do Anglii.

Na szczęście nie wszystkie europejskie kolekcje sztuki afrykańskiej zosta-

ły zdobyte w ten sposób. Oto jak np. 90 lat temu mieszkając w Martre, Paul Guillaume zapoczątkował swe zbioru. Jego sasiadką z paryżu, praczką, reklamowała swe usługi dość frywolnym napisem wywieszonym w witrynie. Klientami owej praczką byli przeważnie ludzie przybywający z kolonii. Pewnego razu Guillaume po prosił sasiadkę, aby pozwoliła mu ów napis zdjąć, bo chce zanieść go i pokazać swym gościom. Praczką zgodziła się, żądając jednak, aby w witrynie został umieszczony jakiś inny napis. Guillaume w nagłym przypływie chęci zdobyć czegoś oryginalnego umieszczył informację, że sasiadka praczką skupuje afrykańskie osobliwości. W kilka dni później miał już w swoim posiadaniu wspaniałą maszkę z Nigerii i rzeźbę gazeli. Wkrótce Paul Guillaume stał się właścicielem niezwykle cennej kolekcji.



Rzeźby z Kamerunu

Osiem lat temu gdy przy robotach ziemnych w Nok w Nigerii sprowadzono nowoczesną koparkę, zaczęła ona natychmiast po jej uruchomieniu wyrzucać z ziemi mnóstwo figur z terakoty, arcydzieł murzyńskiej sztuki z okresu jej wspaniałego rozkwitu w VII wieku n.e. Na Pierwszym Międzynarodowym Festiwalu Sztuki Murzyńskiej jaki odbył się niedawno w Da-

karze można było zobaczyć wiele cennych i rzadkich eksponatów. I tak np. British Museum przysłało cudowne brzozy z Benin, Nigeria rzeźby głów z Ife, Kamerun do starczył na wystawie rzeźby bione wizerunki swych dawnych władców. Są to dzieła zaskakujące swoją „nowoczesnością”, na pierwszy rzut oka przy-

PROJEKT UPAŃSTWOWIENIA PRAW AUTORSKICH PIRANDELLA

Posel chrześcijańskiej demokracji wystąpił we włoskim parlamencie z wnioskiem o przejęcie przez państwo praw autorskich Luigi Pirandella (1867–1936). Powodem wystąpienia jest to, że spadkobiercy praw autorskich wielkiego pisarza, Marta Abba, była aktorka i towarzyszą życia Pirandella, sprzeciwia się wystawieniu na scenie dzieł jego sztuki. Twierdzi ona, że dramaty te Pirandello napisał specjalnie dla niej i jego zamiarem było, aby główne w nich role grała ona i tylko ona, a nie kto inny. Upaństwowienie praw autorskich według prawa włoskiego może nastąpić w przypadku, gdy wymaga tego interes państwowy. Deputowany, który wniósł projekt, motywuje go tym, że w roku przysył mi ja setna rocznica urodzin Luigi Pirandella, laureata nagrody Nobla i społeczeństwo włoskie winno mieć prawo oglądania wszystkich jego dramatów.

RYSUNKI MATISSE'A DO POEZJI MALLARMEGO

W kolekcji pod nazwą „Illustrations de poésies de Mallarmé” („Les peintures du livre”) zostały wydane m. in. reprodukcje akwafortu Henri Matisse'a (1869–1954), które były ilustracjami do książki Mallarmego pt. „Poésies” (Wyd. Skira, 1932).

WIELKA NAGRODA ZA RZEBE

Georges Muguet za rzeźbę „Safu” otrzymał Wielką Nagrodę, przynależną dla artystów francuskich (Le grand prix de Sculpture 1966 des artistes français).

KSIĄŻKA PT. „SOMERSET AND ALL THE MAUGHAMS” BĘDZIE SFILMOWANA

Jak już pisaliśmy poprzednio, bratanek słynnego angielskiego pisarza Somerseta Maughama, Robin Maugham, wydał ostatnio książkę pt. „Somerset And All the Maughams” (Somerset i wszyscy Maughamowie). Obecnie Robin Maugham oddał prawa do tej książki dla jej zekranizowania amerykańskiemu producentowi filmowemu Josephowi E. Levine.

POLONICA

OBRAZ POETYCKI

Jako 27 zeszyt serii naukowej „Acta Universitatis Palachianae documentis, Facultas Philosophica” ukazała się praca habilitacyjna młodej czeskiej pisarki i krytyki, prof. Hany Jechovej pt. „Analiza utworu literackiego z punktu widzenia bezpośredniego i pośredniego opisu rzeczywistości”. W tej pracy o publikowanej przez prasę „Statni Pedagogické Nakladatelství” zajmują się Hana Jechova zagadnieniem obrazu poetyckiego, podpierając swe krytyki, śmiało i odkrywając sformułowania licznymi cytacjami z poezji francuskiej, czeskiej, słowackiej i angielskiej, a z polskiej szczególnie Juliusza Słowackiego i naszych poetów współczesnych. Warto tu przypomnieć, że prof. Hana Jechova wykłada literaturę polską na Uniwersytecie w Olomuńcu, i jest także znakomitą tłumaczką liryki Słowackiego i „Kordiana”. Zagadnienia polskiej poezji poznała Hana Jechova nie tylko teoretycznie, ale i praktycznie, we własnej pracy przekładowej, stanowiącej dowód kunsztu. (W. N.)

NA ŁAMACH „ODJEKA”

W stolicy Bośni i Hercegowiny, Sarajewie, ukazuje się dwutygodnik „Odjek” (Echo), poświęcony sprawom kultury, literatury i sztuki. W piśmie tym zdarza się nam czytać od czasu do czasu bądź utwory polskich autorów, bądź też artykuły o Polsce i jej kulturze. W numerze najnowszym (z dnia 1 czerwca br.) znajdujemy całą stronę aforyzmów zmarłego przed kilku tygodniami Stanisława Jerzego Leca, odtworzoną z rysunkami oraz artykuł Adama Tarna pt. „Czy teatr absurdu ma przyszłość?”, przełożony na serbo-chorwacki przez zasłużonego tłumacza literatury polskiej, Petara Vujčića.

„SOWIECKAJA KULTURA” O SERCU CHOPINA

Moskiewska „Sowieckaja kultura” w numerze z dnia 2. VI. br., pisze o tym, jak to w czasie wojny Niemcy skradli urnę z sercem Fryderyka Chopina i jak partyzanci oddali ją hitlerowcom, a następnie schowali urnę z narodową pamiątką w lesie. Po wojnie urna została wmurowana w ścianę kościoła Świętego Krzyża.

Pisząc o tym „Sowieckaja kultura” odnotowuje znanymi fakt, że nie tak dawno zachodniemiecka firma Karl und Faber wystawiła na sprzedaż 4 listy Chopina, skradzione swego czasu przez hitlerowców. „Fakt ten — pisze komentator — wywołał ogromne oburzenie nie tylko wśród Polaków, lecz i za granicą”.

No cóż, komentarze chyba zbędne. (el)

KWIATY Z POLSKI

Dodatek literacki do „Frankfurter Allgemeine Zeitung” (z 4 czerwca br.) zawiera aż dwa polonice. Rolf Michaelis drukuje prozę zbliżoną do polskiej „Kwiaty z Polski”, opatrzoną podtytułem „Małe przygody w Warszawie”. Na prozie to składają się trzy portrety literackie kobiet różnych zawodów, które autor poznał w Warszawie oraz portret jednej dziewczynki o imieniu Katarzyna. Druga powieść polska w tym dodatku to wiersz Zbigniewa Herberta pt. „Tusulanum” w pięknym przekładzie Karla Dedejusa.

POLONICA

ANDRZEJ GRUN

ŻYWE DRZEWO



Patrząc na rzeźbę Ksolla, odczuwa się, że żadne zwycięstwo nie jest dla niego ostatecznym i absolutnym, żadne nie daje mu pełnego zadowolenia i ukojenia. Że artysta nie doświadcza uczucia, że po wiedział już wszystko i niczego nie pragnie. Że jest zaspokojony.

Czuje się ciągle niepokój. Ciągła i nieustępliwa walka o ostateczne uprzedmiotowienie drewnianego kłosa, o pokonanie przeszkód. Zresztą artysta spiera te przeszkody a największą z nich jest on sam — zależny od drzewa tak, jak drzewo zależne jest od niego. A gdy wreszcie wyzwoli się spod panowania drewna, kłosa staje się czymś zamkniętym, ostatecznym, uprzedmiotowionym.

Ksoll nie ma z sobą studiów artystycznych, nie kończył akademii, nie wysłuchiwał korekt i rad profesorów ale nie sądziaby można go było nazwać przez to prymitywem, zaliczyć go w szeregi tych „ludych”, chociaż inny jest w tym wadzeniem. Nie jest on także rzeźbiarzem ludowym w dosłownym tego słowa znaczeniu, aczkolwiek właśnie w tradycji ludowej tkwią korzenie jego sztuki.

Pochodzi Wilhelm Ksoll z rodziny, w której kowalstwo było zawodem przetrzymującym się na syna od niepamiętnych czasów. Ojciec Wilhelma, Paweł, poza kowalską robotą wykonywał w łanym żelazie seany rodzajowe i religijne. Malował akwarelami naturalne, obrazki. W kuźni ojciec Wilhelm wyczuł się rzemieślnikiem kowalskiego.

Biografia Ksolla mogłaby posłużyć amblemu dla tematu pasjonującej powieści przygodowej. Imal się w swoim życiu najrozmaitszych zawodów. Pracował w kopalni, pływał jako marynarz na statkach handlowych, ukończył kurs szyperski w Szczecinie, był jednym z założycieli i wychowawców Szkoły Rybołówstwa Morskiego w Słowińsku, robotnikiem w rolnym i leśnym, przemierzał drogi z cygańskim taborem. Od lat szesnastu mieszka w Łodzi i rzeźbi. Kiedys uprawiał swoją sztukę sporadycznie, „od święta”. Od szesnastu lat poświęcił się jej bez reszty. A wynikiem tej 16-letniej pracy są dziesiątki rzeźb i płaskorzeźb, liczne nagrody i wyróżnienia na konkursach i wystawach, zakupy do kolekcji w Stanach Zjednoczonych, Bułgarii, Szwecji, Kanady, NRD.

Pracuje wyłącznie w drzewie. Kiedys lepił w glinie, ciał w węgla. Zna tajniki obróbki marmuru, granitu, piaskowca. Dziś buczy nowe kłosa, lipa, grusza, sos na staty się tworzyłem w którym wypowiada się najpełniej i które najlepiej rozumiał. W jego rękach, pod ciekawym kozika czy

dużo zmienia się ono w figurę i tworze ludzką, zaczyna żyć po raz wtóry.

Tematem wszystkich rzeźb Ksolla jest człowiek. I czy to będą figury swietnych, pierwowzorów których należałoby szukać wśród świętów ludowych czy będą to portrety czy sceny rodzajowe o charakterze folklorystycznym czy wreszcie temat macierzyństwa, tak chętnie podejmowany przez artystów wszystkich czasów — a przez Ksolla opracowany w licznych wariantach — to postać i twarz ludzka są zawsze najważniejsze. Forma artystyczna podopiecznego jest w tej rzeźbie ściśle tematowi i temat ten w pełni wyraża. A tematem tym, jak już powiedziałem — jest wyłącznie czło-wiek w swojej wedrowce przez życie. Ciche i zamknięte są twarze ludzkie i ludzkie gesty rzeźbione przez Ksolla. Stąd „Pielgrzym” i „Kartyniarz” to niejako programowe i charakterystyczne postacie. Pochylony starzec wsparty na kosturze — jedynym towarzyszem i ułecnym muzykiem z całym swoim dobytkiem — katarzynka — naiwne, ludo we alegorie. Ale w swoim wyrazie przekonywające, bardzo ludzkie i wzruszające.

Ludzie wydubani kozikiem w drzewie — drzewiani ludzie Ksolla — są starzy, u kresu swej drogi, mądrzy i zrezygnowani. Nie ma w rzeźbie tej tragizmu, żłości, brutalności. Nie ma form dynamicznych, baroku rozdzającego bryle. Jest ona zwarta, statyczna, hieratycznie monolityczna i bardzo oszczędna.

Właśnie w tej ekonomii środków wyrazu, uwiadczniają się najlepiej różnorakie koneksje z rzeźbą ludową. Powiązania zresztą bardziej wynikające z tradycji, w której Ksoll wyrósł i wychował się, z pełnej świadomości wyboru. Wziął więc Wilhelm z rzeźby ludowej przede wszystkim jej prostotę i skromność. Umiejętne zamknięcie tematu w formie zwartej, bez uciekania się do pełnego gestu, patosu, ograniczonej do potrzeb ludowej dostrzegalności. Jest również daleki zarówno weryfikacjom odzwierciedlania jak i owej powierzchownej i fałszywej pseudoludowej estetyce, która ma u nas tak bogatą tradycję. I wziął jeszcze Ksoll od artystów ludowych wielkie rozumienie materiału, które pozwala mu na swobodne i pełne urzeczywistnienie za myślu.

Niewiele dziś artystów czuje w sobie tę niepodobną żadnej innej miłość do materiału: kamienia, drewna, żelaza, gliny, farby; aławistyczna z nim więź. To zrozumiałe. Inne są dziś zaprawy sztuki na sztuce, inne metody jej produkcji, inne tworzywa.

Ksoll tnie drzewo z miłością, z sercem. Kiedy ogląda się Wilhelma Ksolla przy pracy, na myśl przychodzi wiersz Zagadło wicza

(...) kozikiem znów zalomy czuje w sobie tę niepodobną żadnej innej miłość do materiału: kamienia, drewna, żelaza, gliny, farby; aławistyczna z nim więź. To zrozumiałe. Inne są dziś zaprawy sztuki na sztuce, inne metody jej produkcji, inne tworzywa.

Ksoll tnie drzewo z miłością, z sercem. Kiedy ogląda się Wilhelma Ksolla przy pracy, na myśl przychodzi wiersz Zagadło wicza

M. COLE

Studium przestępstwa

Na razie w przedziale nikogo nie było. Joseph Newton rozłożył swoje książki, gazetę i kapelusz na pozostałych wolnych miejscach.

Pociąg ruszył i Newton odetchnął z zadowoleniem, że będzie mógł jechać sam. Przeglądając gazetę zatrzymał się przy opowiadaniu kryminalnym. Stabe, pomyślał zapomniawszy, że sam jest autorem tego opowiadania. Nagle poczuł, że ktoś go obserwuje. Przerwał czytanie, uniósł wzrok i zobaczył starszego brodatego mężczyznę, który mu się przyglądał w zamyśleniu. Brodacz postąpił jeszcze chwilę za drzwiami, wreszcie otworzył je i wszedł do przedziału, rzucając na jeden z pakunków Newtona swój koc i poduszkę przewieszając pasek. Newton wstał niezadowolony i zabrał swoje rzeczy. Mężczyzna usiadł, rozwinął pasek, podłożył poduszkę pod głowę i przymknął oczy. Mimo to Newton czuł, że przybysz w dalszym ciągu go obserwuje. Kiedy przejechała kilka stacji brodacz nagle przemówił z lekkim szkodkim akcentem:

— Przy popełnianiu morderstwa należy być bardziej ostrożnym.

— Co?!

— Powiedziałem, że przy popełnianiu morderstwa powinien być pan bardziej ostrożny.

— Nie przypominam sobie byśm na ten temat rozmawiali.

— To prawda, ale jeżeli pan chce być inteligentni ludzie czytali pańskie książki — po winien pan pisać je tak, żeby nie były zbyt oderwane od życia.

Newton milczał. Był bardzo popularnym autorem i nie przejmował się tym, co o nim pomyśla jego czytelnicy.

— Sądzi, że mimo wszystko moje książki są dużo ciekawsze, niż rozmowa ze mną — powiedział i znowu zaczął czytać gazetę.

— Oczywiście, ale widzę, że powodzenie zepsuło pana. Zaczyna pan zupełnie nieźle... te opowiadania...

— Dziś nikt już nie czytał opowiadań Newtona, a przecież były to najlepsze rzeczy jakie napisał.

— ...byle tam fragmenty o dużej wartości. I mógłby pan do czegoś dościsnąć, edyby nie to pisanie dla pieniędzy.

— Czy pan wie — krzy-

knął Newton — że jest pan wyjątkowo nieuprzejmy?

— Wiem, zawsze taki jestem. Ale to tylko ludziom pomaga. Tak, jeśli mam być szczerzy, ta pańska ostatnia książka jest strasznie niechlujnie napisana. Na jednej stronie bohaterka ma na imię Elinor, a na innej znów nazywa pan ją Gertrudą. To samo morderstwo na jednej stronie popełniono w niedzielę, na drugiej — w poniedziałek wieczorem. Ciało znaleziono kilkanaście godzin po zabójstwie i w dalszym ciągu znajdowało się w kałuży świeżej krwi. Oficer prowadzący śledztwo popełnił około dwudziestu rażących błędów. W końcu wprowadził pan trzy gangi, tajemniczego Chińczyka, nieznana trucizna, która nie zostawia śladów...

A oprócz wielu błędów i przeoczeń jest tam 15 zupełnie wyraźnych niekonsekwencji i 9 przypadków dużej ignorancji.

Newton roześmiał się. — Widzę, że jest pan bardzo uważnym czytelnikiem. Nieznajomy wyjął papierosy, które wysadzana drożymi kamieniami.

— To pańskie ulubione papierosy — powiedział czcując Newtona.

Przez chwilę palili w milczeniu.

— Moim zdaniem — powiedział brodacz — morderstwo powinno być jak najprostsze. Doświadczony morderca nie potrzebuje specjalnych przygotowań, ani też wymyślnych narzędzi. Dlaczego pan, panie Newton, nie napisze własnie o takim morderstwie?

Newton znowu się roześmiał.

— Przecież nie można napisać opowiadania, w którym morderca nie zostawi żadnych śladów.

— Myli się pan. Morderstwo powinno być proste, z zupełnie prostym rozwiązaniem, tak prostym, że tylko wybitny umysł na to wpadnie.

— Nie znoszę detektywów-psychologów!

Może łatwiej się zrozumieć, kiedy zilustruję swój pomysł.

— Proszę bardzo.

— Dobrze, tylko najpierw opuścimy zastonki od strony korytarza. Nieznajomy podbiegł szybko i zasunął je. Teraz jest znacznie lepiej. Nikt nam nie będzie przeszkadzał. Przypuśćmy, że w przedziale jedzie dwóch ludzi, całkowicie sobie obcych, jak ja i pan, ale jednemu z nich nie podoba się twarz drugiego. Czy słucha mnie pan, panie Newton?

— Tak — powiedział Newton. Był coraz bardziej senny.

Zaden z nich nie ma specjalnych narzędzi, oprócz tego, co każdy podróżny może mieć — np. koc, poduszkę i pasek, którym są związane...

— Mówiąc to nieznajomy wziął pasek do ręki.

— Co pan mówił o pasku? — zaniepokoił się Newton, ale był zbyt śpiący by właściwie kojarzyć fakty.

— Oprócz, oczywiście, jednego opiumowanego papierosa — łagodnie kontynuował nieznajomy.

— Co? — Newton bezskutecznie walczył z sennością.

— Właściwie nie nie mogło być go powstrzymać od popełnienia miłego, czystego morderstwa — mówiąc to starczy pan zresztą zarzucić pętlę na szyję Newtona i ściągnąć mocno. Oczy Newtona wychodziły z orbity, usta były otwarte.

mać pociąg w pobliżu stacji Newbury i wezwać policję. Policja przybyła natychmiast, zbadała dokładnie ciało i przedział w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów. Bez rezultatu. Morderca postarał się nie zdejmować rękawiczek podczas całego pokazu. Spisano więc nazwiska i adresy wszystkich osób znajdujących się w pociągu, a tych co byli w wagonie Newtona zatrzymano do dalszych przesłuchań. Brodacz jechał w przedziale I-klasy trzy wagony dalej, do którego się przeniósł po udanym morderstwie. Zatrzymane osoby przesłuchano do

Wszyscy jesteśmy trochę szaleńcami. Mój wuj był bardzo podniecony tą sprawą, gdyż jechał wtedy tym samym pociągiem. Napisał nawet do Timesa.

Początkowo Wilson odrzucił propozycję zajęcia się sprawą, która przysporzyła tyle kłopotu Scotland Yardowi, ale po odejściu markiza zaczął się nad nią zastanawiać. To było nierealne, wbrew na turze, by człowiek mógł zabić drugiego człowieka i zbiec nie zostawiając absolutnie żadnych śladów. Tak, w każdym bądź razie, sadził wuj markiza. Poza tym pan Acres-Noel na pewno zachował niektóre szczegóły dla siebie i nie wszystko powie- diał policji.

Wilson postanowił znaleźć kopie listu do Timesa. Oto co przeczytał.

SZANOWNY PANIE,

Metody policji w rozwiązywaniu tzw. tajemniczy Newtona wykazują całkowity brak kompetencji. Jako jeden z pasażerów pociągu, w którym zamordowano Newtona, zostałem przesłuchany. Skompen-sowałem sobie niemiłe chwile rozrywką, jaką miałem z bezowocnych i niepotrzebnych badań policji. Jasne jest, że policja nie zna motywów, którymi kierował się morderca popełniając zbrodnię. Potwierdza to dochodzenia. Gdyby poświęcili więcej czasu na znalezienie powodu morderstwa, a mniej na gromadzenie bezużytecznych informacji, pozorne zawłóki zniknęłyby od razu. Prawda jest zawsze prosta, zbyt prosta, by dostrzegli ją idioci. Dlaczego zamordowano Newtona? Odpowiedzcie na to pytanie, a okaże się, że mogła go zamordować tylko jedna osoba. Motyw jest zupełnie indywidualny.

Pozostaje z szacunkiem R. D. ACRES-NOEL

To bardzo dziwny list — powiedział Wilson do siebie. — Kładzie nacisk na znalezienie motywu, poza tym wszystko wskazuje na to, że piszący zna przyczynę tego zabójstwa... Zadzwoń do Scotland Yardu i poproś o kilku ludzi do pomocy, potem wysłał list, nadrobił charakter pisma Newtona. List został wrzuty do skrzynki znajdującej się na najbliższym przystanku w Kornwalli. Wilson, zdawał sobie sprawę, że była to szansa jedna na tysiąc, ale należało ją wykorzystać.

DROGI PANIE ACRES-NOEL,

Nie mogę zapomnieć naszego ostatniego spotkania kilka miesięcy temu. Nasza ostatnia rozmowa była niesłychanie interesująca i bardzo bym chciał spotkać się z panem jeszcze raz. Tak się składa, że wracam do Londynu w tę sobotę, będę wracał z powrotem do Kornwalli expressem Riviera w środę. Gdyby pan przy-

padkiem jechał też w tym czasie, moglibyśmy się spotkać.

Pański oddany JOSEPH NEWTON

Ktoś wyjątkowo podobny do zmarłego Josepha Newtona usiadł wygodnie w rogu przedziału pierwszej klasy ekspresu Cornish Riviera. Miał cały przedział do swojej dyspozycji. Pociąg był przeladowany, ale pasażerowie zmierzający w jego stronę byli dyskretnie odsyłani dalej przez funkcjonariuszy kolejowych. Pociąg nie nabrał jeszcze szybkości, kiedy samotny podróżny poczuł na sobie wzrok kogoś stojącego na korytarzu. Podniósł oczy nad pisma, które czytał. Nieznajomy popatrzył jeszcze chwilę, potem wolno otworzył drzwi przedziału i usiadł w rogu. Był to niestary ubrany, niski, starszy pan z bródką. Obok siebie położył koc i poduszkę związane razem rzemieniem paskiem. Rozwinął paski, poduszkę podłożył pod głowę, kocem przykrył kolana, pasek leżał obok. Potem przymknął oczy. Wilson nie poruszył się. Wiedział, że zdołał być tysiącna szansa. Pociąg przemknął przez stację Maidenhead. Nagle starszy pan się odezwał:

— Niestety, ostatnim razem całkowicie pokolełem sprawę. — Ależ skądże — Wilson starał się nie zdradzić głosem. — Czy mógłby pan jeszcze raz mi pokazać jak pan to robi?

— Z przyjemnością!

Przesunął się szybko w stronę Wilsona, wyjął papierosy, które wysadzana drożymi kamieniami i poczęstował go papierosem. Wilson zaniepokoił się, nie przewidział tego. Przyjął ogień od pana Acres-Noela. Ciepły, słodkawy smak potwierdził jego obawy. Papieros był opiumowany.

— Czy mogę zasnąć zasłonięty? — spytał tamten. Wilson wykorzystał ten moment, by wymienić papierosa. Zaczął ziewać, udając, że go ogarnia sennosc.

— Jak dotąd wszystko jest jasne, prawda? — spytał Acres-Noel.

— Najzupełniej, proszę dalej — Wilson przymknął oczy i opuścił głowę.

— A oto następny ruch — powiedział starszy pan. Chwycił pasek i zarzucił go na szyję Wilsona. Ale Wilson był szybki, zerwał się, schwycił tamtego za rękę i zaczął wyzywać pomocy. Dwóch policjantów w cywilu wkroczyło natychmiast z sąsiedniego przedziału. Pociąg zatrzymał się na stacji Newbury Racecourse, gdzie aresztowany Acres-Noel i policjanci wysiedli prawie niezauważeni. Pan Acres-Noel już w szpitalu dla umysłowo chorych, miał tylko jedno zastrzeżenie: dyrekcia nie dostarczała mu następnych książek Josepha Newtona.

Przekład: R. GORZELSKI



Newton był martwy.

Nieznajomy posiedział jeszcze chwilę. Potem wstał, usunął poduszkę, rozwiązał pasek, wyrzucił przez okno do połowy wypalonego papierosa. Zwinął koc i poduszkę razem, zwinął pasek, otworzył drzwi przedziału i odszedł w głąb korytarza.

— Szkoda — mruzczał do siebie — z tego byłoby dobre opowiadanie, ale obawiam się, że ten biedak nigdy już nie napisze.

Ciało Josepha Newtona znalazł kelner wagonu restauracyjnego. Zdecydowano zatrzy-

kładnie. Okazało się, że nikt z badanych, ani znajdujących się w pociągu, nie znał Newtona poprzednio. Markiz Queensfery zgłosił się do Henry Wilsona najlepszego prywatnego detektywa Anglii, by ten rozwiązał zagadkę morderstwa Newtona.

Chodzi o zakład. Mój stary wuj założył się o 50 tys. funtów, że nikt nie wyjaśni tajemnicy tego morderstwa. Stały się dziwakiem i ciągle się o coś zakłada — dodał markiz — im zakład głupszy tym lepiej. — Nasza rodzina już jest taka, rozumie pan?



Lewym okiem

PARĘ DEKO PIEPRZU DOŻYLNIE

Coraz więcej w naszym dzisiejszym, nowoczesnym języku potocznych słówek, zaczynających się przedrostkiem pre. Można by zamiast pre mówić przed, sens byłby identyczny, może nawet całe słowo zyskałoby na jasności, skoro jednak wolimy prefabrykat od przedwyróbu i preselekcję zamiast przedwyróbu — niech będzie i tak. Niech będzie nawet preoracja zamiast przedmowy i prentacja zamiast przedstawienia.

Lawina słówek na — pre- świadczy jeszcze raz o ciągle rosnącym pośpiechu, szalonym galopie zdarzeń. Zanim coś się skończyło, już przedtem powinno być skończone. Albo jeszcze przedtem. Najlepiej — przed zaczęciem. Rzecz gotowa nie jest już strukturą, stanowiącą „coś więcej niż

sumę swych części”, lecz właśnie prostą sumą mniejszych rzeczy gotowych, ich takim czy innym zestawieniem. Pozwala to w niektórych wypadkach lepiej i taniej zorganizować produkcję wielkich rzeczy gotowych, na przykład, domów, budowanych z prefabrykowanych ścian, mostów z prefabrykowanych przęseł i tym podobnie.

W niektórych wypadkach. A ludziska by chciały od razu wszędzie, na siłę, na duś. W Ameryce już ponoć przed zarżnięciem kury wstrzykują jej do żywego ciała przyprawę, żeby mięso było smaczniejsze. Ligi Przyjaciół Zwierząt jeszcze nie zajęły stanowiska, może w nich zasiadają smakosze, może ktoś dowiódł, że parę deko pieprzu dożylnie wpływa pozytywnie na samopoczucie ptaka. Dalszym krokiem na drodze tak pojętego postępu będzie chyba nadzianie żywej kaczki jabłkami z pietruszką, oskubanie i wbięcie widelca w krzyż. W porze obiadowej łapie się taką kaczkę na podwórkę, podgrzewa i ucztą gotową.

Wiele się pisało i mówiło o prefabrykowanych meblach. Jak dotąd skończyło się na kilkunastu wymiarach desek, oklejonych czerwonym fornierem gwoździ potrojenia ceny, oraz podziurkowanych tu i ówdzie celem dalszego podwojenia ceny. Z takich desek można sobie zestawiać regał, albo regał, przy czym jeden od drugiego będzie się różnił gęstością półek. Jasne: nie tylko

prefabrykacja potania produkcję. Jeszcze bardziej obniża koszty wydobycie serii. Zamiast dwudziestu mebli gotowych miało być sto elementów, umożliwiających otrzymanie dwustu różnych mebli. Zostało jednak dziesięć elementów na jeden mebel. Tyle, że koszty spadły (nie mylić z ceną!).

Zjawisko — mimo pozornego paradoksu — jest to samo co w odniesieniu do prefabrykowanych z życia kurcząt. Ich koszty też na pewno będą niższe niż suma kosztów miliona indywidualnych gospodyń domowych, przyprawiających drób „do smaku”. Na pewno nie będą tańsze w cenie, która interesuje indywidualną gospodynię. A sto razy na pewno: wszystkie będą jednakowe...

Ale jest na to rada. Co do kurcząt: panie domu wymyślą sposoby wywabiania „wrodzonych” przypraw i dalszego doprawiania w zamian czymś, o czym jeszcze nam się nie śniło. Co do mebli: będziemy zaklejać dziurki, pitować deski, heblować, palić — a w mieszkaniach nadal stać będą stare, szpetne, ale praktyczne komody, szafy, toaletki i kredensy. Zaś w preselekcyjnych sklepach z prefabrykowanymi regałami będziemy wspominać prehistoryczne czasy, gdy potrawy, mieszkania, domy i buty różniły się od siebie, dając ludziom przynajmniej złudzenie, że urządzają swe życie po swojemu.

CWIEK